

JEDNODNIÓWKA

KU UCZCZENIU

DZIESIĘCIOLECIA WALK O LWÓW

1—22 XI 1918

1—22 XI 1928

WYDANA PRZEZ

KOMITET OBYWATELSKI OBCHODU 10 ROCZNICY
OBRONY LWOWA

REDAKTORZY:

STANISŁAW KUPCZYŃSKI

STANISŁAW MAYKOWSKI

JULJUSZ STEFAN PETRY



Utwory, zebrane tu w dziesięciolecie Obrony Lwowa, przypominają tę obronę sposobem swego powstania. Pisano je na gwałt, pod naciskiem alarmujących naszych listów, ale napisano na czas, wytrząśnięto prawie z rękawów, bo autorami są sami lwowiaczy, w przeważnej większości żyjący dotychczas wśród nas, niektórzy tylko rzuceni w dalsze okolice Polski, zawsze przecież jednakowo czujni na głos miasta i jego pilne powzy.

Miazgą ideową utworów jest naturalnie nasz zbiorowy wysiłek bohaterski z przed lat dziesięciu. W obawie przed natłokiem sprawozdań z tych bojowych wypadków i powiedzmy szczerze, przed monotonią, jaką groziło ich wystawianie, choćby najindywidualniej ujęte, uprosiliśmy znaczną ilość pisarzy, żeby wyszli w poruszanych tematach poza samą „Obronę” nie tracąc wszakże związek ze Lwowem i z życiem duchowym miasta, bądź w czasach, wyprzedzających rok 1918, bądź w późniejszych.

Połączyć w jaką taką całość wzbogacony, ale i zróżnicowany w ten sposób materiał było dość trudno. Unikając w następstwie utworów bezmyślnej zasady abecedowej, niemniej i honorowania naukowych czy pisarskich „firm” miejscami czołowymi, a spychania skromniejszych współpracowników na szary koniec, ustaliliśmy porządek następczy wedle treści utworów.

Uważny czytelnik dostrzeże, że zawarta w „Jednodniówce” całość prac składa się z czterech kolejno po sobie umieszczonych części. Pierwsza jest ideologiczna i skupia te krótkie wskazania, czy dłuższe artykuły oraz wiersze, które sięgają w sam trzon zagadnienia Obrony. Druga część to obraz wypadków listopadowych: po wspomnieniach osób wojskowych (dowódcy, oficera i żołnierza - ochotnika) następują tu zapiski z refleksjami ludzi cywilnych oraz transkrypcje walk artystyczne, oddane piórami literatów fachowych. Część trzecia to przeważnie asyl uczonych, opowiadających o dawniejszych sprawach Lwowa. Pod koniec brzmi tu zachęty do gromadzenia materiałów, związanych z „Obroną”. Czwarta, zamykająca część zbioru to rozważania nad listopadem 1918 i próba dziejowego „zaksiążkowania” jego następstw. Niemniej jest to i przejście od wielkiego rapsodu o niedawnych bohaterach lwowskich do skromnej powieści o stałych dzisiejszych lwowskich ludziach. Plan ten, nie umówiony napród z autorami, raczej powstający doraźnie, w miarę dopływu artykułów, zachwiał się może tu i ówdzie, niemniej naogół jest zarysowany wcale wyraźnie.

Nie dając arcydzieł, bo te nie powstają na listowy apel z podpisami propagandowych komitetów, mamy przecież przeświadczenie, że w ręce czytelników składamy publikację użyteczną i zajmującą, która powinna stać się skromnym, ale poważnym wyrazem uczuć Lwowa w dzień jego wielkiego święta.

REDAKCJA „JEDNODNIÓWKI”

Podziwiamy i czcimy najzasadniej bohaterstwo czynu Obrońców Lwowa. Kolej teraz na bohaterstwo pracy, nie już samych tylko Orląt, ale całego społeczeństwa tutejszego, pracy codziennej, żmudnej, nierozgłośnej, przeważnie bezimiennnej, ale w zbiorowości swojej potężnej, dającej jedyną rękojmię, że nie zmarnują się owoce bohaterstwa Orląt.

Oswald Balzer

Wizja Karola Szajnochy.

(Urywek z monografii).

...Gasły źrenice oczu, które przebiegły tyle dzieł i rękopisów wzrokiem bystrym i przenikliwym, ale czynny był w pełni umysł niepospolity znakomitego dziejopisarza. Karol Szajnocha nie dosięgł jeszcze lat czterdziestu, gdy został odcięty od otaczającego świata gęstą zasłoną. Już nigdy nie obaczył całkiem wyraźnie — opowiadał Władysław Łoziński — syna jedynaka, którym obdarzyła go młoda, ukochana żona (r. 1857).

W tych chwilach niezmiernie gorzkich i rozpacznych, w pierwszych latach zamglonego widzenia, zbierał w umyśle, pozbawionym wrażeń bezpośrednich, porządkował, rozpamiętywał nagromadzone wiadomości. Wtedy dopiero ogarniał je w niedoświadczonej dotąd całości, widział w wielkich konturach rozłogi przeszłości narodowej. Widział okiem ducha, niezamąconem niczem, przeżywał istotnie wizję wielkich zdarzeń dziejowych, złączonych w nierozzerwalne łańcuchy. Jak Milton dopiero po oślepieniu obaczył „Raj utracony“, tak on okiem, zasmutem na zewnątrz, ale otwartem ku wnętrzu, dostrzegł teraz naród jako jedną bryłę, zjednoczoną i zwartą, w pochodzie miarowym, ustawicznym, od zachodu ku wschodowi: „posuwający się od brzegów Wisły coraz dalej ku stronom wschodnim Rzeczypospolitej“. Szły hufce za hufcami, zbrojne i strojne, „husarskie i hulańskie“ z rozwiniętymi sztandarami, z pieśnią Bogarodzicy — w rozgwarze bębnow i trąb... Bronili kresów ukraińskich, bronili ludu ruskiego wespół z kozakami, dopóki „służyły koroli Polaszczy po wiri i po prawdi“, przeciw Tatarom i Turkom i wszelakiej dziczy barbarzyńskiej.

Kraj dookoła — to „las mogił, kopców, strażniczych wałów, okopów, ulubionych kozackiej wojnie podkopów, majdanów saletrzanych“.

W chwilach wytchnienia zmieniano oręż na plug, aby znowu w razie potrzeby chwycić za miecze. „W braterskiej zgodzie idzie tu z sobą zamięłowanie w rycerskości z zamięłowaniem w rolnictwie — oręż z lemieszem! Szabla czyniła sobie zadość broniąc Rusi od Tatar, lemiesz uprawiał ją i osiedlał. Oba żełęża okryły się w równej mierze wawrzy-

nami w tych stronach a zasługa lemiesza przyniosła nawet trwalsze owoce od orężnych...“

„Za ginącym w obronie domu rycerzem ziemianinem widać zawsze płaczącą zdaleka żonę, matkę, sieroty. Obraz dzikiej nieprzyjaźni wojennej łagodnieje od niebieskiego światła miłości. Junactwo rycerskie zamienia się w natchnienie poświęcenia...“

Oto początek „opowiadań o królu Janie III“, prześlicznych obrazów Żółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich w dziele, zatytułowanym „Mściciel“ (1860), poczem szły pełne tragizmu „Dwa lata dziejów naszych 1646, 1648“, wypracowane w badaniu długim i mozolnem.

W jakiejś chwili twórczego natchnienia, pod urokiem tych „wizyj dziejowych“, powziął zamiar napisania osobnej rzeczy o „Obrońcach postannictwie Polski“ i zaraz, aby mu tok myśli nie zaginął w pamięci, skreślił z pomocą swej „maszynki“, którą się na pociemku posługiwał, „Wstęp“ zachowany w jego papierach, (główne myśli, podane są w notach do „Dwóch lat“).

„Opatrzność usadowiła nas — pisał w tym wstępie — na pobrzeżu świata i uspołecznienia w imieniu Krzyża, kazała nam chcąc nie chcąc tarczą być zachodu, wstrzymywać sobą zagony barbarzyństwa wschodniego, posuwać coraz dalej szafce walki obronnej. Cała nasza historia wzięła odpowiedni kierunek, świeci głównie łuną i wawrzynem tych bojów, w nich najchlubniejsze prawo do szacunku ludów zyskała...“

„Jeśli obrona granic chrześcijańskich była w istocie postannictwem narodu, tedy nie mogło ono być tylko biernem, nie mogło ograniczać się na sam odpór szturmowi dziczy azyjskiej, na samo znoszenie jej ustawicznych zagonów. Jak wszystko, co żyje w dziejach, musiało i to postannictwo być czynem i musiało działać, musiało rósć w tem działaniu i postępować...“

„Chciejmy objąć historyczną całość przeszłości naszej — a uderzy nas odrazu ciągle, nieprzerwana obecność i czynność tego natchnienia obrończego...“

Ludwik Finkel

HYMN NA CZEŚĆ LWOWA.

Muzyka : B. Wallek - Walewskiego.

Słowa : Henryka Zbierzchowskiego.



Gdy ranka złoty róż
Swe blaski śle na łów
W zielonym wieńcu wzgórz
Jak wizia błyszczy Lwów.
W tem mieście mieszka lud,
Co wiernym jest po zgon.
To Orląt naszych gród
To jest na twogę dzwon.

Gdy wróg ze wschodnich twierdz
U Polski stanął wrót
Dzwonieniem wszystkich serc
Wskrzesał obrony cud.
I gdy ze szczytów drzew
Listopad liście strząśł
Swych dzieci oddał krew
Ze śmiercią poszedł w płs.

Lwie serce ma nasz Lwów
Jak przed wiekami miał
Obronców stanął huf
I Bóg zwycięstwo dał.
Na kresach trzymasz straż
Przez wieków prawie sześć!
Cześć Ci o Lwowie nasz
Obroncom Twoim cześć!

Genjusz dziejów Polski.

W tem co się dziś pod utartą nazwą mieści „Obrony Lwowa“ — takie jest bogactwo przeróżnych epizodów i taka różnorodność politycznych i narodowych zagadnień, iż doprawdy nie wiedzieć od czego tu zacząć i co wybrać należy, ażeby chociażby najskromniejszym przyczynkiem uczcić pamięć tej rocznicy uposażenia powstającej Polski przez jej obrońców w przebogate wiano jej dzieł zictwa — Lwów.

A nawet nie podobna się oprzeć wrażeniu, że lubo obchód dziesięciolecia bohaterskich zapasów obrony Lwowa, jest wprost nakazem serca i chwili — to jednak jesteśmy jeszcze za blisko historii tych wielkich wydarzeń, ażebyśmy się pokusić mogli o pełną i wierną syntezę dziejową, splatającą epizod obrony Lwowa, z zagadnieniami najistotniejszymi Polski, z historją jej powstawania i z rolą mocarstw innych.

Ale jest jedna chwila w bohaterskiej obronie Lwowa, która nie potrzebuje czekać na żadne dziejowe perspektywy i do której się sprowadza ta przebogata wstęga przeróżnych a tak wzniosłych epizodów;

jest jedno zdarzenie tak w swej zewnętrznej szacie zdawałoby się nikłe i szare, iż nieomal grozi mu przywalenie przez bogatą listę późniejszą wodzów, przez sceny historycznych walk i politycznych wypadków.

A jednak gdybyśmy to zdarzenie spróbowali wykreślić z epizodów historycznych wydarzeń, to w tejże chwili cały łańcuch splecionych ze sobą bohaterskich wysiłków i wydarzeń pod Lwowem nie ma się o co uciepić, i z wyżyn swoich opada rozbity na ziemię.

Bo popróbujmy tylko przekreślić tę chwilę, którą tu mam na myśli, gdy kilkudziesięciu młodzieńców zbiera się, ażeby powziąć postanowienie walczyć o odbicie wroga, to i co nam wogóle pozostanie z samej obrony Lwowa?

Nic! literalnie nic! Nawet ze samej nazwy, z której tak dumnym jest Lwów, nie ostałoby się literalnie nic. Bo wtedy wogóle nie byłoby żadnej „obrony Lwowa“, a historia zapisałaby tylko na swych kartach, „oddanie grodu“, zaaprobowane przez Radę mocarstw tak bardzo się liczącą z faktami dokonanymi, i nalegającą już później na oddanie Lwowa nawet wówczas, gdy Lwów się krwawił w bohaterskich, zwycięskich zmaganiach.

Tak. Ta garstka wraz ze swym wodzem*) tworzyła wielką radę wojenną, na której miał zapasć wyrok dla Lwowa: „być, czy nie być“, a bodaj czy się omył, pójdę jeszcze dalej, i powiem, iż na tej radzie młodzieńców miał zapasć wyrok dla Polski i jej przyszłych dziejów: — „być albo nie być“!

Zbierają się na tę naradę wojenną te dzieci ze swym wodzem wówczas, gdy Lwów zostaje podstępnie oddany przez umierającą Austrię, zaopatr-

zającą w broń, amunicję i wyszkolonych oficerów swych spadkobierców, którym Lwów w testamencie przekazuje. I na te zastępy wojsk, na karabiny i armaty wyrzyna się kilkadziesiąt dzieci i idzie pod komendę wodza, który się waży wziąć moralną odpowiedzialność za to istne szaleństwo i poprzysięga Ojczyźnie i Bogu oddać swoje młode życie w ofierze w obronie Lwowa.

*

W tym czynie jest nietylko zamknięta cała przyszła obrona Lwowa, ale nadto rozbłysnął w nim w najpełniejszej chwale genjusz dziejów Polski.

Boć to było znamieniem genjuszu ducha narodowego, że nawet w zupełnej przegranej umiał on znagła i niespodzianie wbrew wszelkim ludzkim przewidywaniom i obliczeniom dobyć z głębi narodowej duszy tyle dziejowego jasnowidzenia, tyle porywu i szczytnej ofiary, że ratował naród z niechybnej toni, że zawstydział zimne rachuby dyplomatów i że odnosił zwycięstwa i triumfy pośród powszechnej przegranej.

Najgłębsza tajemnica olbrzymiego wpływu trylogii Sienkiewicza nie w samym tylko jego spoczywa talencie, ale w tem przede wszystkim, że umiał on odtworzyć na kartach naszej trylogii ducha dziejów polski; ten duch z wielkiej ogólnej klęski wodzów i oręża polskiego pod Żółtymi Wodami, wywiódł zwycięską obronę Zbaraża, zalewowi Szwedów a zdradzie i małoduszności swoich przeciwstawił nagły zwrot poczęty obroną Częstochowy, a szczytną, rycerską ofiarą całopalną Wołodyjowskiego uwieńczył swój dziejowy pomnik.

Ale pomnik przeszłości ofiary ożył na nowo w tych młodzieńcykach i ich wodzu. Oni to ruszają z miejsca sprawę zupełnie już po ludzku przesądzoną i przepadłą — oni mocy materialnej wojska i karabinów przeciwstawiają moc szczytnej ofiary, oni dziecięcym szaleństwem, tworzą kadry dla wielkiej politycznej, narodowej i państwowej myśli, oni wbrew głosowi rodzin i własnego serca jak i wbrew wołaniu rozsądku, tworzą czyn przyszłego zwycięstwa.

Oni to zwycięstwo przygotowują nietylko bohaterskim poświęceniem swego młodocianego życia, ale i spowodowaniem konieczności walk w dalszym ciągu już regularnym zaciągom polskiego wojska i polskich wodzów; oni to swym przykładem porywają obojętnych i zwątpiałych, oni stawiają wszystkich przed czynem dokonanym a na wahaniach zaważają swem moralnem wymuszeniem decyzji za ich młodocianym a narodowo i państwowo tak dojrzałym i wieszczym planem; oni to wykuwają wielką myśl dziejową Polski na jej nowej karcie — w swych grobowcach i mogiłach; oni wreszcie zaraz na wstępie dziejów

*) Cz. Mączyńskim.

wskrzeszonej Polski owionęli nas tak wzniosłym porywem i tak szczytną ofiarą, że rozszerzyła się ona w nadzieje narodu w jego żywotną przyszłość.

*

Czyn ten polskiej młodzieży, każe się nam zawrócić ku cmentarzowi obrońców Lwowa, ku ich mogiłom, ażeby stamtąd odejść z krzepiącą na-

ród myślą, że właśnie w sercu naszej młodzieży jest ów skarbiec zawsze świeży i niewiedniejący tych jasnowidzeń narodowych, i tych cnót i poświęceń, przez które młodzież stanie się i piastunką narodowego ducha i naszą przyszłością, a ilekroć tego zajdzie potrzeba, też i naszą wybawicielką.

X. Józef Teodorowicz

W chwili wybuchu.

(Wstęp do obszerniejszego szkicu p. t. „Obrona Lwowa w pamiętnym listopadzie“).

Pokój brzeski, będący oficjalnem zamknięciem walk na froncie wschodnim, stanowił widomy etap w konszachtach Niemiec i Austrii z godnymi ich kompanami ukraińcami. Początków ich, o ile chodzi o Austrię, należy szukać głęboko w XIX wieku. Przyłączyły się do nich i poparły je, ba pokierowały nimi w ostatnich lat dziesiątku tego wieku zdradzieckie, nigdy i niczem nienasycone Prusy. Początkowo nieuchwytnie, później przez mgłę niejako widzialne, odkryte stanowczo w pierwszych latach obecnego wieku, kontynuowane były stale i wytrwale przez cały ciąg wojny światowej. One to doprowadziły do „traktatu“ w Brześciu, a nie konieczności wojennego wyżywienia, a nie łaknienie za pożądaną „mąką ukraińską“.

W ogłoszonych punktach traktatu odstępowano nieistniejącej państwowo „Ukrainie“ na ręce kilku ściągniętych młodzieniaszków terytorja polskie, dochodzące pod sam nieomal Lublin i daleko na południowy zachód od niego się ciągnące.

Nie ogłoszono niczego o t. zw. Galicji wschodniej, ziemi od Jadwigi bez przerwy do Polski należącej, ziemi, o której ruski kronikarz Nestor jako o polskiej w pradziejach mówi, ziemi, użyźnionej i przesiąkniętej krwią polskich jej obrońców w stopniu niespotykanym w żadnym zakątku świata.

Wstydzono się snuć zawanego pokoju, a może chciano dalej ludzić społeczeństwo polskie zapewnieniami, że umowa ta nie obejmuje terytorjów, do Austrii jeszcze należących.

Aż dziw bierze, jak wielu Polaków czynnych politycznie na arenie Wiednia, bluszczem się tam koło tronu Habsburgów owijających, wierzyło tym zapewnieniom.

Uludami tymi jednak nie zwiedziono społeczeństwa polskiego, na miejscu zamieszkałego, a w obronie tej ziemi i jej trwałej do Polski przynależności długą i świetną mającego tradycję. Nie omamili jego tembardziej, gdyż wkrótce spostrzeżać zaczęto dziwne na miejscu konszachty niemieckich i austriackich władz wojskowych z ukraińskimi prowodyrami i dziwniejsze jeszcze zarządzenia, wydawane przez dotychczasowych, zaborczych władców tej ziemi.

Pilnie i skwapliwie oczyszczano teren z wszystkich, którzy mogliby przeciwstawić się zdradziec-

kim machinacjom. Pod pozorem powrotu kadr do dawnych pokojowych miejsc postoju, usunięto z Galicji wschodniej wszystkie oddziały austriackie, w większości z Polaków złożone, a ściągano pospiesznie o przewadze elementu ruskiego. Ale dziwnie wszystkie kadry lwowskie pozostały daleko poza Galicją, a do Lwowa ściągnięto między innymi kadrę czerniowieckiego pułku. Oddziały tu pozostawione i sztaby tu działające przetrzasano skrętnie za Polakami (oficerami i szeregowcami) i wszystkich wysyłano na walczący jeszcze front włoski, lub do innych oddziałów daleko na zachód. Wszak i co do mej osoby, rezerwowego kapitana, wydano imienne zarządzenie aż z A. O. K. austriackiej, wstrzymane jedynie czasowo na skutek osobistej interwencji najwyższego czynnika wojskowego we Lwowie.

Nie ufano znać zbytnio sprzymierzeńcom swoim, czy nie wierzono w ich wartość bojową, kiedy ściągano licznie do Lwowa i Małopolski wschodniej najwierniejsze oddziały niemieckie i węgierskie. W samym Lwowie dwa takie ułożono bataliony o pełnych składach wyborowego materiału ludzkiego, wyekwipowane bojowo znakomicie.

Nie wspomnę już o dalszych, wspólnych przygotowaniach i konszachtach, o rozdawaniu broni i ściąganiu amunicji, o długich i częstych rozgłosach z politykami ukraińskimi. Wspomnieć jedynie warto o dwu depeszach, które doszły do Lwowa (do 4-ej komendy generalnej) z austriackiego A. O. K. Jedna polecała sprowadzić do Lwowa t. zw. „grupę Wasyla“, złożoną z byłych ukraińsko-austriackich legionistów i ukraińskich siczowych strzelców (U. S. S. stad usakami zwanymi) i druga, którą nakazywano oddać do rozporządzenia ukraińskiej Radzie Narodowej wszystkie składy i magazyny — materiałowe i amunicyjne — leżące na terenie Galicji Wschodniej i Wołynia aż po Kowel włącznie.

Oto ostatni dar austriackiego A. O. K. dla Polaków.

* * *

Przy rozważaniu i obliczaniu obustronnych możliwości, wydawała się sytuacja beznadziejna.

Pod względem liczebnym ogromna, szalona przewaga po ukraińskiej stronie. Wszak w samym Lwowie wynosiły kilkanaście tysięcy żołnierza od-

działy wojskowe zwarte, którymi oni w całości, od razu mogli dysponować. Należało doliczyć do tego całą „grupę Wasyla“, ładującą się w pociągi, by pospieszyć pod Lwów i cały szereg oddziałów dawnych austriackich z ukraińców złożonych, zadzirygowanych z całej Austrii do Małopolski Wsch. Oddziały te znajdujące się już w Małopolsce, względnie w najbliższych dniach i godzinach przybyć tam mające, mogły być dalej uzupełniane i wzmacniane ludzkim materiałem, wyciąganym z całej Małopolski Wsch., liczącej prawie półtrzecia miliona Rusinów. Wreszcie należało się liczyć z pomocą, idącą z prawdziwej, naddnieprzańskiej Ukrainy, gdzie Niemcy mieli ster w rękę. Przypuszczać należało, że wyślą stamtąd choćby własne niemieckie oddziały, w strój kozacki przebrane.

Tak wyglądały liczby po jednej stronie. Jak zaś po naszej? Z oddziałów zwartych, dawnych austriackich ani jednego z większością polską, gdyż te wszystkie zawczasu usunięto. W innych oddziałach Polaków znaleźć trudno. Gdzieś jeszcze tu i ówdzie zabłąkał się jeden lub kilku. Zostaje więc tylko nieomal wyłącznie do rozpoczęcia walki ludność cywilna. Ba, ale ta przebrana w niemożliwy sposób przez Austrię w czasie czteroletniej wojny światowej. Dość zaznaczyć, że najwyższy procent ludności zmobilizowanej i pobranej na wojnę był w Galicji. Nie ulegało wątpliwości, że walki rozpoczyna się o Lwów, lub we Lwowie. Ten miał wogóle ludności polskiej tylko nieznacznie ponad 100.000. Na ile i na kogo można z nich liczyć po takim wytrzebieniu przez Austrię wszystkich zdolnych do broni mężczyzn? Szczupłą garstkę niedobitków, względnie urlopowanych na zdawanie egzaminów, przedstawia młodzież akademicka. Więcej nieco młodzieży w szkołach średnich, powszechnych i rekodzielniczych, ale poniżej austriackiego, wojennego wieku poborowego (niżej 18 lat). Oto wszystko! Prawda, pozostała jeszcze Niewiasta Polska, wszędzie w Polsce, ale może szczególnie we Lwowie gorąco patriotyczna i silnie narodowo czująca.

Działające na tym terenie tajne organizacje wojskowe (Polskie Kadry Wojskowe i Polska Organizacja Wojskowa) i szczupłutka jawna legioniści, nie dochodzą wszystkie razem do tysiąca ludzi we Lwowie. Uzupełniać ich po rozpoczęciu walki mogą tylko... kobiety i dzieci.

Pod względem uzbrojenia i wyposażenia technicznego różnica jeszcze gorsza na naszą niekorzyść. Tam oddziały wojskowe uzbrojone, jakby się wyrazić można, od stóp do głów, zaopatrzone obficie we wszystkie najnowsze, w czasie wojny światowej wynalezione i wypróbowane środki i narzędzia walki, mające wbród amunicji, zawczasu przygotowanej przez Austrię. A u nas? Ot, w organizacjach wojskowych ten i ów ma jakiś rewolwer z kilkoma strzałami, lub najczęściej bez amunicji. Karabinów skrętnie ukrytych przed pilnie śledzącym, angusowym okiem żołdaka austriackiego, naliczono już po rozpoczęciu walk we wszystkich organizacjach aż 64 sztuk, najrozmaitszych systemów z mikroskopijną ilością amunicji. Na wszystkie przeliczne, austriackie karabiny maszynowe, ułożone po przeciwnej stronie, u nas znalazła się jedna, stara, z muzeum chyba wyciągnięta, mitraljeza włoska z 25 jedynie strzałami.

Mimo tej przy spokojnych, zimnych rozważaniach w głowie macącej dysproporcji, nie było wśród organizacji wojskowych, ani w społeczeństwie, za nimi stojącym, ani jednego, któryby wahał się choćby przez chwilę, że walkę należy podjąć, czy też ją rozpocząć.

Nie wolno jednak się dziwić, ani rzucać kamieniem potępienia na tych, częstokroć osiwiiałych w ofiarnej pracy narodowej ludzi, którzy walki te przed ich rozpoczęciem i w czasie ich trwania określali jednym słowem... szaleństwo.

Tak, oni obliczali zimno ten wzajemny stosunek sił, tę ogromną dysproporcję między stronami walczącymi — użyjmy słów Wieszcza — „mistrza okiem i szkiełkiem“.

Czesław Mączyński

Ostatnie rozkazy.

Po oswobodzeniu miasta w historycznym dniu 22 listopada 1918 r. wydano do wojska następujące rozkazy:

Do oddziałów Odsieczy.

Lwów, dnia 23 listopada 1918.

Żołnierze!

Pod naporem naszych bagnietów pierzchły barbarzyńskie hordy, które przed 22 dniami opanowały Lwów. Broniąc całości i niepodzielności Polski, spełniliście swój obowiązek, oswobadzając z pod jarzma brutalnej przemocy miasto Lwów, zaskarbiście sobie wdzięczność mieszkańców, odważnym orężnym czynem zyskaliście sławę. W tej radosnej chwili dziękuję w imieniu służby oficerom i żołnie-

rzom podległych mi grup ekspedycyjnej i lwowskiej, jakoteż kolejarzom przemyskim, którzy brali udział w ekspedycji i wnoszą okrzyk na cześć tego, który sprawił, że Polsce w chwili odrodzenia się nie brakuje sił na odparcie wszystkich ataków gwałtu.

Niech żyje Naczelny Wódz Wojsk Polskich Józef Piłsudski!

Tokarzewski ppułk. w. r.

Do oddziałów lwowskich.

Lwów, dnia 23 listopada 1918.

Podstępny, pod osłoną nocy wykonany zamach na polski Lwów odparty. Nieprzyjacieli, z którym bezskutecznie próbowano zgody, począł się rządzić w nim z niesłychanym terrorem i gwałtem, pod

którym strasznie ludność cierpiała. I byłby może dopiął celu, gdybyście mu nie przeszkodzili wymordować większej części mieszkańców. Wy, żołnierze i oficerowie. Z młodzieńczym zapalem, z gołymi rękoma porwaliście się do czynu prawie beznadziejnego, rzuciliście się na karabiny i armaty i wydarliście je mu, by je weń skierować. Wszystko bowiem, czem pokonaliście wroga, na nim dopiero zdobyć musieliście. Zapał Wasz i święte przywiązanie do Lwowa, jak niemniej świadomość, że o gwałtowne, a niesprawiedliwe uszczuplenie Ojczyzny idzie, stworzyły cuda, zjednoczyły wszystkie partie i stany i rzuciły wszystkie myśli nasze i wszystkie pragnienia nasze w jednym kierunku — wyparcia jak najczęstniej wroga.

To przekonanie podtrzymywało siły Wasze, gdy tygodniami bez snu, odpierając w dzień i noc ataki, trwaliście na placówkach, czy wypieraliście wroga z zajętych stanowisk. Duch przedsiębiorczości Waszej, gdy w kilku odpieraliście setki, pokazał wrogowi, czego dokonać może święty zapał w obronie sprawiedliwej i słusznej sprawy.

Szczęśliwym się czuję, że dane mi było kierować czyny i kroki Wasze w planowe działanie, że pozwolono mi być żołnierzem wspólnie i razem z Wami. I choć przy porównywaniu liczb obustronnych rozpacz targała duszę, choć widziałem znużenie Wasze, nigdy nie wkradło się do niej zwątpienie, bom wierzył w Was i wiedział, że póki kropla polskiej krwi w Was płynie, nie pozwolicie mi o pędz uszczuplić Ojczyzny. Przez przydługą ciąg twardych bojów nie cofnęliście się ani razu.

Nie w mojem, lecz w imieniu świętej sprawy naszej, składam Wam wszystkim, oficerom i żołnierzom, lekarzom i sanitariuszom, za wszystkie trudy, znoje i cierpienia Wasze najwyższą podziękę i z dumą chylę czoło przed Wami z odzewem: „Cześć Wam!”

Cześć Wam, żołnierze, że krwią i życiem Waszem przypieczętowaliście lub przypieczętować pragnęliście polskość Lwowa, cześć Wam, że stanawszy murem w szeregu, dowiedliście, że żywie w Was polska krew, cześć Wam, współpracownikom moim, że Ojczystą Ziemię świeżo z grobu powstałej Ojczyźnie — bez uchwał kongresów — w kornym darze składacie, cześć Wam, że stwierdziliście, że już więcej nie zginie Ziemia, która takich ma synów!

Lecz dopiero połowa pracy dokonana. Wróg uzbrojony czyha jeszcze u wrót miasta. I stamtąd wyprzeć go musimy i tam rozbroić go trzeba, by nie powtórzyły się lube jemu wypadki. My za nim pójdziemy i damy mu niegorszą niż we Lwowie lekację. Dlatego do dalszej pracy i wytrwania w szeregu Was wzywam i jestem pewny, że nie zbraknie nikogo z Was, bo to przez usta moje — „Ojczyzna Was woła!”

Czesław Mączyński w. r.

Za zgodność:

Adjutant

Garbień w. r. por.

SOKOLNICY.

Wybrali was z gniazda, z ciepłego zaszycia
Sokolnicy ludzie dobrzy, potrzebni,
Wybrali i chowali na szczycie
Wieży,
Na wysokiej,
Byście lot miały podniebny
I w boru nie chciały mroki
Rozszumiały, kuśliwe wądoły
Orliki, gnieźniki, sokoły!...

Wodę wam czystą dawali pić ze skały
Odwiecznej,
Karmili was ptactwem zleciałem od słońca,
Puszczali na sznurze
Czerwonym,
Byście posłuszne na berło wracały
I nie latały bez końca
Po górze,
Po niebieskiej...

Potem wam kaptur nakładali na oczy
Kaptur głęboki i nieprzepatrzony,
Byście uczyły się przycichać w mroczy,
W ciemni samotnej, śmiechu nie łaskawej
I to tylko słuchały, czy kędyś nie dzwoni
Korowód czapel, wataha żórawi
Na sup!...

Aż ledwo lot wam ku mocy głowy
Skrzepnął,
I piersi wzdęły się krwią gorzącą,
Zaraz ze sobą was zabrali na łowy,
Gdzie dzikie stada skrzydłami się mąca
Nad puszcza czarną, szumiącą
Sokolniki, chłopcy setne i zdrowe.

Hej! wzleciałyście wy wesole, tłumne
Orliki, gnieźniki, sokółki!
Między dzioby rozwarłe, ostre, łonem w łono,
Swej śmierci nie widzące, poszalałe, dumne,
Nic, że tam piersi prują się nicią czerwoną,
Ze gdzieś tam wiatry tańczy na łące wesolej
Ze słońcem w parze młodej, wiosną rozigranej,
Ze gdzieś chodzi za tobą wzrok miękki, kochany,
Ze cieplejsza dłoń luba niż sławy kurhany,
Ze przecie żyjem
Ino raz...

Po łowach wróciłyście skromne na buławę
Sokolników ludzi dobrych, pocziwych
Nie wszystkie, hej! nie wszystkie i z skrzydłem podarłem
I krwawe.
A oni już tę waszą rozpowiadać sławę,
Ze się w was ognie takie najzaciejsze żegą,
Zeście wy ich dziecięta, że wyście ich warte,...
Orliki...

Tylko, kiedy was cięła wrażeń dziobów chłosta,
Kiedy się tyle kładło na nigdy niewstanie
Was
Serdecznych,
Czemu on tak spokojny daleko pozostał
Na koniach nieruchomych, z berłem na kolanie
Sokolników huf coby, potrzebny.
Czemu?!

Z moich wspomnień.

31 października przyjechałem z Krakowa do Lwowa. Nie zdążyłem się niestety skomunikować z Tatarem-Trześniowskim ze względu na spóźnioną porę, w jakiej przyjechałem, przeto wziąwszy jakiś hotel żydowski koło Krakowskiego, tam się rozlokowałem. Zbudzony nad ranem strzelaniną, wyszedłem na miasto. Któż zdoła opisać, co działo się we mnie, gdy na ratuszu zobaczyłem niebiesko-żółtą flagę. Wkrótce znalazłem się w szkole Sienkiewicza, gdzie zastałem Trześniowskiego już z garścią ludzi, gotowego do stawienia czoła krzywdzie. Zgłosiłem swoje usługi wraz z garścią ludzi, jaką mogłem skrzyknąć odrazu. Nie mając chwilowo nic do roboty, wyszedłem jeszcze na miasto, gdzie znalazłem tworzącą się Naczelną Komendę. Otrzymaawszy instrukcje wraz z kapitanem Pierackim jako komendantem Szkoły Sienkiewicza, zgłosiłem się tamże. Kapitan Trześniowski dostał rozkaz odejścia do Rzeszy Polskiej. Tego samego dnia wobec przemęczenia i choroby kap. Pierackiego, objąłem dowództwo Szkoły Sienkiewicza, następnie nie mając kontaktu z Gł. Komendą, prowadziłem walkę na swoją rękę, operując w kierunku Dworca Głównego, Góry Stracenia, Poczty, na południu zaś w kierunku Kulparkowa i Persenkówki, wspomagając również oddziały Domu Akademickiego na ul. Zybkiewicza. (późniejszy odcinek I.). Sam werbowałem, uzbrajałem, prowadziłem walkę aż gdzieś do dnia 6 listopada, meldując tylko Nacz. Dowództwu fakty dokonane. Wkońcu, nie mogąc już podołać tak wielkiemu frontowi (wobec braku pododdziałów), zaproponowałem osobiście rozdzielenie zdobytego terenu (linia Góra Stracenia—Poczta—Persenkówka) na pododcinki, co też zostało wkrótce przeprowadzone. Wtedy zostałem dowódcą II. Grupy. Szczęście nam sprzyjało. A dla uwydatnienia, do jakiego stopnia, przytoczę fakt skniłowski.

Oddział, wysłany, o ile się nie mylę, pod dow. ppor. Wolaka, celem zdobycia stacji Skniłów, zawiadomił mnie, że rozkaz wykonał, zdobywając 12 armat, 6 wagonów amunicji itp. Chcąc naocznie się przekonać o tem, pojechałem z kap. Pierackim i trzema żołnierzami (legionistami), oraz dwoma szoferami samochodem na st. Skniłów. Lecz w drodze już zostałem zatrzymany wiadomością, że w ostatniej chwili walka przyjęła inny obrót i że nasi się wycofali. Wobec tego rozkazałem wysiąść z auta i z bronią w rękę tyralierą posuwaliśmy się w kierunku stacji. Tu nie zastaliśmy nikogo. Pałace się chaty i stodoły, jak również kilka trupów ukraińskich wskazywało, iż przed chwilą krwawa bitwa się tu toczyła. Pozostawione przez obydwie strony armaty czekały miłosiennie na zabranie ich do polskiego użytku. Rozkazałem, aby auto podjechało, poczem wsiadłszy, ruszyłem w stronę wsi Skniłowa, odległej o 2 km. od stacji Skniłów. Ujechawszy 1 km., wstrzymałem auto i znowu tyralierą ruszyliśmy na wieś. Zapytawszy w pierwszej z brzegu chałupie, czy nie było tu polskich oddziałów, otrzymałem wiadomość, że „buli,

ino poszli“. Ruszyliśmy do wsi, skąd dochodziły dźwięki piosenki ukraińskiej, śpiewanej przez kilkanaście piersi męskich. Zdziwiło mnie to nieco. Rozkazałem, aby auto stanęło pod samą wsią, sam zaś, rozdzielając nasze siły w ten sposób, że kap. Pieracki na prawo z 2 ludźmi, ja zaś z jednym na lewo, ruszyliśmy w kierunku onej rozśpiewanej grupy.

W krótkim czasie zobaczyłem z odległości 80 kroków około 25 ludzi, zgromadzonych na rynku. Myśląc, że to nasi, gdyż przypuszczałem, że z radości iż zdobyli tak wiele, śpiewali rusińską piosenkę dla zabawy, wysłałem do nich swego legiionistę, aby biegiem skoczył i zapytał, co to za oddział. Nagle zobaczyłem ruch żołnierza, a następnie usłyszałem strzał z równoczesną salwą, skierowaną w stronę mojego towarzysza i mnie. Ciągłe przekonany, że to pomyłka, uskoczyłem w boczną ścieżkę. Nagle, jakby z pod ziemi, zobaczyłem swojego żołnierza uciekającego, gonionego przez jednego z tamtych ludzi, a równocześnie naprzeciw nich dwu żołnierzy. Dostrzegłszy mnie, wszyscy zatrzymali się. Stojąc w ten sposób na cztery kroki przed owymi ludźmi, zwróciłem im uwagę, że ja jestem „swój“ z odpowiednim epitetem, gdy w tejsze chwili obydwaj, jak na komendę, dali do mnie ognia. Śmiercią przypłacili obydwaj niefortunne swe strzały.

Rozprawiwszy się ze swoimi, zobaczyłem mego towarzysza, który również przypuszczając, że się pomylił, zwrócił się do swego prześladowcy (a stali prawie dotykając się karabinami) i z odpowiednim epitetem krzyknął: „Przecież ja swój, czego strzelasz skatina?“. W tejsze samej chwili ukraińiec strzelił, lecz równocześnie prawie usłyszałem strzał żołnierza swego. Wszystko to jednak bez skutku, zdawałoby się, że strzały z karabinów nie miały się ludzi. Wówczas żołnierz, widząc swoją krytyczną sytuację, zawrócił, aby kontynuować ucieczkę. Spostrzegłem wtedy, jak ukraińiec, zwrócony tyłem do mnie, wziął do oka broń i złożywszy się jak do zająca, celował w mojego chłopaka. Była to chwila, gdy m się rozprawiał z ostatnim ze swoich. Moment wahania, czy zdaże i już znalazłem się za plecami ukraińca, a przyłożywszy mu rewolwer do pleców, strzeliłem. Zdziwiony skutkiem, gdyż szelma nie padł, poprawiłem natychmiast, poczem widząc, że ma dość, krzyknąłem chłopakowi: „Wiać do auta“. Operując rewolwerem do wybiegających z karabinami z chałup, po przez ulice wsi, dobiegliśmy do auta, gdzie spotkaliśmy się już z kap. Pierackim i jego jednym żołnierzem. Jesteśmy już w aucie, gdy z tyłu zobaczyłem pozostałego żołnierza, który z językiem na wierzchu dobiegał auta. Wówczas zamiast powiedzieć „w tył jechać“, krzyknąłem: „jechać w tył“, co oczywiście miało odwrotny skutek. Wobec czego z odpowiednim epitetem zatrzymałem auto i dałem rozkaz „w tył“. Weiagnęliśmy chłopaka przez auto, gdyż już gęsto nas ogniem prażyli i pojechaliśmy „po kawalersku“ na śmierć i życie odstrzelując się,

z pędzącego, jak wichra, auta. Wróciliśmy całi i wszyscy. Ukraińcy mieli trzech zabitych, w tym dwu Wityków i kilku rannych, jak się później okazało.

Dnia 21 listopada objąłem dowództwo frontu południowo-zachodniego, w skład którego wchodziły: grupa moja, Tatare i gros sił z odsieczy młra Tokarzewskiego. Zaszedłszy z całym swym oddziałem 21 listopada o godz. 6 rano na roгатkę Zieloną i rozbiorwszy oddziałek, broniący roгатki, rzuciłem cały I. baon z oddziałem swoim kulparkowskim z por. Bergmanem w kierunku roгатki Łyczakowskiej i Dworca Łyczaków, oraz Łasku cesarskiego, rozpocząłem atak na całej swej linii. Wobec niedopasowania północnego skrzydła, atak się nie powiódł o tyle, że Lwowa tego dnia nie zdobyliśmy, lecz wciągnawszy prawie rękami dwa dział

na roгатkę Zieloną, przypuściłem po przygotowaniu artyleryjskim generalny atak dnia 22 listopada o godz. 6 rano i wszedłem o godz. 7.30 do miasta witany radośnie przez ludność oswobodzoną.

Kochana chwilo, która strudzonemu żołnierzo wi miękką dłonią otarłaś znój po 22-dniowej bezsennej pracy. To był dzień, w którym powiedzieć mogłem sobie: Jestem naprawdę Polakiem, jestem naprawdę synem Tych, co za wolność ginęli, co dla wolności zwyciężali. Poteżna, obfita we wspomnienia chwilo, jakże cię powitam! I ciebie, Ludu Lwowa, co w bezdennej radości przyjąłeś w ramiona syna swego, jedną z dziesiątków tysięcy istnień ludzkich złożoną piersią wołając: „Cześć“ — to wielkie słowo uznania.

Boruta - Spiechowicz

1. Listopada.

(Urywek z pamiętnika).

Już jako oficer do specjalnych zleceń co dopiero powstałej Komendy Naczelnej Wojsk Polskich we Lwowie, aczkolwiek jeszcze w austriackim mundurze, wracałem dnia tego od kościoła Elżbiety ku miastu. Niestety, nie zwróciłem uwagi dorożkarza, by ominął zwyczajną drogę ul. Zyblikiewicza, gdzie znajdowały się koszary, już opanowane przez wroga. Stało się więc to, co się stać musiało: koło klasztoru SS. Bazylijanek, dorożkę moją zatrzymał silny kordon żołnierzy. Komendant, podoficer ruski, znać nie całkiem wyzbyty długo wtłaczanej weń austriackiej dyscypliny, stanął na „habacht“, grzecznie zaszalutował, i wskazując na mą szablę, rzekł:

— „Panie lejtnant, widdajcie oruże!“

Odpowiedziałem ostro:

— „Was wollen sie von mir? Ich verstehe sie nicht!“ — I już wyskoczyłem z dorożki. Woźnica skorzystał z tego, i uciekł pospiesznie.

Żołnierze z żółto-niebieskimi kokardami na austriackich czapkach otoczyli nas, mnie i swego dowódcę — podoficera, zwanego kołem. Widziałem wokół twarzy tępe, bezmyślne, znajome twarze chłopów ruskich, którymi przez lat parę komenderowałem na włoskim froncie, teraz rozżagwione nienawiścią.

Zniecierpliwiony „zugsführer“ ujął głównię mej szabli i już grubiańsko począł się domagać oddania broni.

W prawej dłoni, w kieszeni płaszcza, czułem zimną stal brauninga. Sytuacja stawała się coraz bardziej krytyczna. Trzeba się było na coś zdecydować momentalnie.

— Dać się rozbroić? Tym chłopom? A więc rewizja osobista! Wszak przy sobie mam spis imienny i adresy setek kolegów! Nigdy! Im bardziej byłem wewnątrz rozgorączkowany, tem flegmatyczniejszą stawała się moja maska zewnętrzna.

Potem jedno mgnienie oka decyzji. Krzyczę: — A to znajesz?

I kolba pistoletu spada, jak grom, na nos i oczy ukraińskiego przywódcy. Zalany krwią, wali się z nóg. Przeskakuję leżącego, w kilku susach dopadam do oszklonych drzwi przeciwległej cukierenki. Wpadam do środka, wciąż brauning dzierżąc w prawicy. Ciężba, krzyk, zamęt i dopiero za mną salwa. Goście cukierniani, którzy tu szukali schronienia, rozstępują się w panice.

Instynktownie znajduję drzwi tylne do sieni. Przez sień na podwórze. Potem klatka schodowa dla służby. Wpadam na otwarty strych. Jakaś gruba Marysia rozwiesza bieliznę i na mój widok wpada z przerażenia do kosza. Przez otwór w powale wydostałem się na dach i odrazu po śliskiej blasze, w wysokich butach z ostrogami, zjeżdżam aż do rynny.

— O, błogosławiona rynno! Cud, żeś utrzymała mój kawaleryjski ciężar.

Skończył się dach jednej kamienicy. Nie namyślając się wiele, zeskoczyłem na drugi niższy, a potem po żelaznych słupkach zsunąłem się na ganek.

Spojrzałem w dół. Połączone podwórza czterech kamienic roily się od głów ludzkich.

Przyczyną zbiegowiska była jakaś pani, która tuż za mną wybiegłszy temi, co i ja drzwiami na podwórze, nieprzytomna z trwogi ukryła się w podwórzowej wygodce. Pędzący za nią ukraińcy widzieli tylko ruch zamykanych drzwi i dali salwę ku drewnianej budce.

Nim ją wydobyto stamtąd, miałem czas odbyć swój pochód po dachach. Prześladowcy zgubili mój ślad. Wiedzieli jedynie, że się w którymś z tych domów kryję. I rozpoczęli rewizję od piwnic.

Tymczasem sytuacja moja na ganku nie była pozazdroszczenia godną. Lada chwila mogli mnie dostrzec. Nie namyślając się wiele, począłem wa-

lić rączką pistoletu w pierwsze napotkane drzwi. Otworzyły się. Wszedłem do środka. Przerażona, liczna rodzina żydowska zaczęła jęczeć:

— Panie oficer, tu u nas małe mieszkanie. Zaraz znajdują.

Podszedł do mnie uczeń jakiś i rzekł:

— Proszę pana! Tam mieszka taki jeden stary radca. Ma 8 pokoi. On pana schowa z pewnością!

Młodec pokazał palcem jakieś drzwi na niższym piętrze. Co robić? Ostrożnie począłem schodzić i zadzwoniłem raz, drugi. Kroki za drzwiami i głos:

— Kto tam?

— Polski oficer szuka schronienia!

Drzwi otwarły się na oścież. Stałem twarzą w twarz z starszym jakimś panem o miłym uśmiechu. Wprowadził do jasno oświetlonej jadalni. Za oknem bowiem mrok stawał się coraz większy.

W pokoju całe towarzystwo. W paru słowach wyjaśniam i pobieżnie opowiadam o mych przygodach. Jakaś poważna dama pyta:

— Dlaczegoż się pan nie dał rozbroić?

— Mam tajne papiery przy sobie. Nie mogą one wpaść w ręce wroga.

— Ma pan rację! — przytwarza gospodarz. — Niech się pan teraz rozbroi i usiądzie przy stole. Szklanka herbaty dobrze panu zrobi.

Plaszcz, czapkę, szablę, brauning, ostrogi oddaję starcy „miani“. Cały ten rynsztunek znika w jakichś skrytkach. Siedzę i piję. Kilkanaście oczu wlepionych we mnie.

— To pan zastrzelił tego żołnierza na ulicy? Widziałam przez okno! — pyta jakaś pani o jasnych oczach.

— Nie zastrzeliłem go, ogłuszyłem jedynie kolbą brauninga.

Rozmawiamy chwilę. Nagle tupot żołnierskich butów na schodach. Rewizja! Pan domu z zimną krwią przeprowadza mnie do drzwi tapetowych w ścianie. To łazienka. Umieszczają mnie za stołem ziemniaków i parawanem. W owym listopadzie była moda robienia zapasów. Siedzę skulony, czekam. W międzyczasie gorączkowo przeszukuję portfel i kompromitujące papiery drę na drobniutkie kawałki.

Tymczasem żołdactwo zbliża się, jak fatum, do tapetowanych drzwiczek. Słyszę przez cienką ściankę:

— A co tam?

— Łazienka.

— Otworzyć!

Jakżeż powolnie wkładają klucz do zamku, przekręcają, naciskają klamkę. Wreszcie drzwi się uchylają, ktoś z akcentem obojętnym wyrokuje:

— Ach, to tylko kartofle!

Zaciskam zęby, żeby nie szczekały z podniecenia i... strachu. Drzwi zamykają się. Rewizja odchodzi. Mrja kwadrans, drugi, trzeci. Wreszcie mój zbawca woła:

— No, poruczniku, już można wyjść.

Znów herbata. Zapraszają, częstują.

— Może kekсы, proszę!

— Nie, dziękuję. Tylko papierosa.

Powoli przychodzę do siebie. Patrzę na zegarek.

— Już późno — mówię! — Tam czekają na mnie. — Tam — to znaczy na „polskiej stronie“. Wiem bowiem, w południe to zdecydowano jeszcze, że wszystkie siły nasze koncentrują się koło dworca.

Zaczyna się narada, jak mnie bezpiecznie wyprowadzić z tej matni. Wreszcie mój zbawca zamyka dyskusję.

— Posiedzi pan tu jeszcze jakiś czas, a potem dam panu swoją zarzutkę, kapelusz i jakoś może uda się panu wysłiznąć.

Pani z jasnymi oczyma oświadcza:

— Ja pójdę z panem! Dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna, zawsze mniej zwracają uwagi.

Młczę, nie mogąc nie uznać słuszności jej argumentów.

Zaczyna się przebieranie. Na głowę wtłaczam melonik pana radcy, zamaty przynajmniej o dwa numery. Dokumenty osobiste i to, co zewnątrznie świadczy o moim żołnierstwie, a więc broń także, zostawiam w przechowaniu u gospodarza. Na mundur wdziewam paletko ciasne i krótkie. Właściciel jego o głowę mniejszy odemnie. Podnoszę kołnierz i zakrywam wyłogi bluzy.

Długo, mocno wstrzasam szlachetną prawicą mego wybawcy.

— Dziękuję! dziękuję!

— Niema za co! To mój obowiązek! Niech Bóg Cię prowadzi, mój chłopcze.

Moja towarzyszka nagli. Wychodzimy i zwołna zstępujemy w dół. W sieni na dole na karabinie wsparty — żołnierz ruski. Przystaje. Wyciągam papierosy. Częstuję go i pytam uprzejmie:

— Ma pan ognia?

— A maju, pane! — odpowiada mi i zaświeca zapalke.

Eksperyment ryzykowny. A nuż pozna. A nuż to jeden z tych?... Nie poznał, zaszutował, wyszliśmy, „czule“ trzymając się za ręce.

Dochodzimy do rogu ulicy Zielonej.

— No, tam pożegnamy się — mówi moja przygodna towarzyszka.

— Szczęść, Boże!

Bez słowa całuję bohaterską rękę. Obca pani odchodzi i przepada w mroku.

W parę godzin potem, przebrawszy się i uspokoiwszy rodziców, przekradam się placem powystawowym ku polskim placówkom w Domu Techników.

Po 21 listopada odwiedziłem mego zbawcę. Starowina omal nie płakał z radości na mój widok.

Przywitaliśmy się okrzykiem: „Lwów nasz!“

Oddałem palto, kapelusz, odebrałem broń, papierosy, części garderoby. W bitownym gwarze miesięcy następnych mało było czasu na wizyty. Wreszcie, któregoś dnia dowiedziałem się, że nie żyje. Szedłem za pogrzebem rozrzewniony. I myślałem:

Drogi, stary przyjacielu, tak zacny, choć mało znany, niech Ci będzie lekka ta polska ziemia Lwowa! Jesteś tego miasta symbolem i wyrazem, miasta behaterskich starców, kobiet i dzieci!

T. M. Nittmann

W pierwszą noc.

Nie pamiętam, czy to było z 3-go na 4-go listopada czy o dobę później. Z całą inteligencją rodzinnego miasta przeżyłem okres walk o Lwów w tym większym napięciu, że nigdy przedtem nie oglądałem wojny z tak bliska. I jeszcze po latach dziesięciu ówczesne wrażenia odnawiają się z wyrazistością nienaganną. Nie pamiętam przecież tej daty. Uszła mi z pamięci już, kiedy jesienią 1919 przeniosłem się do Poznania, kreśliłem wspomnienia tych tak niedawnych przeżyć. Były one zresztą bardzo zwyczajne. Jeśli z notatek przepisuję garść szczegółów, to w przekonaniu, że może zachęce do ujęcia za pismo tych, co mają do opowiedzenia nierównie więcej.

W Domu Techników zapisywano się na listy ochotnicze. Wśród rozgardiaszu podajemy z bratem nazwiska. Dwu chłopaków stoi z markotnymi minami. Nie chcą ich, bo mają lat 16 i 17. Ujmuję się za nimi i godzą się wziąć ich do służby pomocniczej. Naprawdę jednak idziemy wszyscy na front i to natychmiast. Wybieramy sobie karabiny, jednostrzałowe (Werndle), pakujemy naboje po kieszeniach i stajemy przed domem. Następuje podział i krótkie objaśnienie, jak otwierać zamek karabinu. Potem ładują amunicję i chleby na wóz i zamiast w lewo ku koszarom w seminarjum nauczycielskim, kierujemy się na prawo ku Szkole Kadeckiej.

Huk, na który nie zwracało się uwagi wśród przygotowań, dochodzi nas teraz co raz wyraźniej. Uszliśmy jakie 200 kroków, gdy kule zaczęły tak świstać, że każą się położyć po obu stronach drogi. Tylko konie i nieletni wyrostek na wozie zostają na środku. Ściemnia się zupełnie.

Ruszamy zwolna naprzód i znowu zapadamy po brudnych rowach i zboczach wzgórz wóleckich. Szczeście, że nie jest zbyt zimno, bo inaczej stare spodnie frakowe, zarzutka letnia i brak rękawiczek, przypominałyby się zbyt natrętnie. Oswajam się z nowym położeniem. Jeszcze się cisną wrażenia niebezpieczeństwa, ale znikły wahania a zupełny, upragniony spokój odzyskuje się po dniach rozterki z chwilą wejścia na linię.

Docieramy do Szkoły Kadeckiej i poomacku wchodzimy do korytarza głównego budynku. Świecą zapalki, ale naogół wszystko dzieje się w zupełnej ciemności. Zgłaszam się na ochotnika, aby odnieść chleby i naboje. Za to ktoś z towarzyszy daje mi karabin pięciostrzałowy systemu Manlichera. Wymieniam amunicję i ruszamy w trzech, nieznając sobie zupełnie. Prowadzi jakiś Królewjak, lat mniej więcej 20, ale doświadczony w porównaniu ze mną żołnierz, który obiecuje mi nauczyć sztuki nabijania broni. Za to nie zna dostatecznie drogi. Błąkamy się chwilę wśród kul, przełamujemy przez druty, które rozszarpują mi zupełnie jedną nogawicę, i idziemy przez plantacje i skórkę drzew ku rogatece stryjskiej.

Tam nie zastajemy nikogo z naszych, tylko dawnych mieszkańców. Jakaś kobieta leży chora. Pała światło do późna w noc i nie wiedzieć jakim

cudem okna nie są trafiane. Zostawiamy chleby i amunicję. Stajemy z Królewjakiem w pobliskim sadzie za grubą topolą nadwiślańską i zaczynamy się odstrzeliwać. Po jakimś czasie zdaję sobie sprawę, że pukamy na oślep. Ledwie czasem kula uderzając w płot rozżarzy się i wskaże cel jakiś wyraźniejszy. Świejące kule lecą z lewego naszego skrzydła.

Po trzech godzinach ściągają mnie na odpoczynek. Jestem już zupełnie ostrzelany i jako tako woiskam pełne magazyniki z ładunkami. Jem chleb i drzemię na ławce w izbie budynku straży cłowej do 1-szej po północy.

O tej godzinie z przygodnym towarzyszem czujemy rozkaz złuzować placówkę u skraju zarośli parku stryjskiego naprzeciw elektrowni. Mamy położyć się i nie strzelać, bo nasz patrol podjedzie i w kierunku świateł na Persenkówce pięciokrotną da salwę. Późem dopiero należy odpowiadać szybko na ogień, który się na nas posypie. Biegniemy wśród kul przycupując od czasu do czasu, wreszcie rzucamy się na ziemię. Niema oczywiście żadnych okopów, a drzewa są cienkie: zresztą należy uważać pilnie na drogę, a że ciemno, więc trzeba być tuż obok. Ale w tę pierwszą noc służby jeszcze nie gnębi nas senność. Zresztą czas się nie dłuży przy wyłożonej uwadze. Na lewo odzywa się placówka z innego oddziału i jakiś młodzieniec przychodzi pożyczyć sobie ładunków. Z tej więc strony jesteśmy bezpieczni. Wkrótce patrol z 4 ludzi prowadzona przez sierżanta Kierskiego nieco na prawo od nas otwiera przedki ogień. Późem cofa się a my odstrzeliwamy się wobec wzmożonej czynności nieprzyjaciela.

Około piątej zmieniają nas i pozwalają iść odpocząć na rogatekę. Biegniemy ale gwałcie zatrzymują mnie i nie widzę mego towarzysza. Naraz zdaje mi się, że to on przykucał o kilkanaście kroków, i ja się zatrzymuję. Po chwili przecież budzi się we mnie wątpliwość. Dobrze, strzelają mocno, po kiego diabła jednak tkwi właśnie na środku małej polanki. Podbiegam więc, by się przekonać, że to mój nędzny wzrok nie pozwolił mi rozpoznać zabitego konia. Nakoniec jestem w budynku. Siadam na krześle, mienawykły jeszcze kłaść się na podłodze jak inni. Okna i lampa przysłonięte. Sierżant rozmawia z dwoma żołnierzami z Węgier, którzy tłumaczą się dość dobrze po polsku, że wracają do domów drogą na Stryj, i proszą, by ich przepuścić. W trakcie tego wznaga się ogień z wszystkich stron i to całkiem blisko. Ale rozmowa się nie przerywa a zmęczonym nie chce się dźwigać z pod stołów.

Jest szósta i dzień już jasny. Strzelanina stała się wściekłą. Nie można dłużej wątpić: to atak. Ale z której strony cofają się nasi a skąd idą Ukraińcy, niepodobna rozecznąć. Wypadam na podwórko zasypywane kulami. Nędzną ochronę dają kawałki parkanu i budy drewniane. Z za jednego węgla każą mi strzelać. Kończą się jednak pełne magazyniki a niepełnych nie umiem zakładać. Zachnął się sierżant, gdy mu je oddawałem. „Nie na wiele się przy-

dam — odpowiadam — ale się nie boję“. Jakoż niepojętym sposobem ja, co nie chciałem polować, bo przy strzale mrużyłem oczy, ja, co pomimo zamiłowania do szermierki przymykałem powieki, gdy dziecko machnęło zbyt blisko kijem, nie czułem zupełnie trwogi. Byłem tylko przekonany, że z tego podwórka i z tego domu nie wyjdę żywy.

A jednak wybiegliśmy nieco później w ośmiu, zdrowi i nietknięci, zmierzając do parku. Rozciągnęliśmy linię przy zboczach głównej drogi, wiodącej na plac Powystawowy. Upływał kwadrans za kwadrans. Nieprzyjaciół zajął stajnię szpitala końskiego o kilkadziesiąt kroków, i wciąż strzelał z karabinów zwykłych i maszynowych, ale ponad nami i widocznie zwracając całą uwagę na samą Szkołę Kadecką. Miałem baczyć, aby nas nie zasłży od tyłu od miasta. W ogrodzie jednak było pusto. Rodzi się po raz pierwszy myśl samozachowawcza. Lecz zaraz wraca świadomość, że trzeba podporządkować się w zupełności komendzie godnej zaufania. Dają mi nieco ładunków i każą ściągać się w prawo. Ktoś odrywa deskę w parkanie, otaczającym ogród przy Szkole Kadeckiej i zaczynamy się przeciskać.

Brak jednak dwu mimo nawoływań. Ofiarowuje się iść po nich, a sierżant mówi, żeby biec wyjąwszy chustkę białą. Nie szukam jej przecież, tylko wracam do parku, skąd wkrótce podaży jeden

z towarzyszy. Drugi się nie odzywa i nie widać go na dawnym jego stanowisku koło domku straży ogrodowej. Pozostawiają go więc losowi, licząc, że jako „stary żołnierz“ da sobie radę.

W siedmiu, nietknięci, po 9-ej z rana wpadamy do Szkoły na II piętro, gdzie z okien strzela się do ukraińców. Ja ich jednak nie dostrzegam, więc pozostawiam trud innym. Tracę łączność z kompaniami nocy i z wyjątkiem sierżanta już ich nigdy nie rozpoznałem. Nawet mężni ochotnicy zmieniali w tych pierwszych dniach oddziały całkiem dowolnie.

Przy oknie spotkałem się z synem współpracownika robót przed laty z górą dwudziestu, organizowanych przy redakcji „Przeglądu Wszechpolskiego“, Włodzimierzem Koskowskim. Należał do oddziału sanitarnego, ale mając wzrok dobry, wziął udział w obronie. Zdobywa dla mnie jakieś spodnie, ale nie mam odwagi ich wdziać; Bóg wie po kim i znać na nich całą nędzę żołnierską. Uderzają jeszcze kule, nawet ekrazytowe, lecz walka przygasa; atak odparty został wcześniej, nieprzyjaciół już kryje się od strony Wólki i odstrzeliwa się co raz rzadziej... Odtąd zaczęła się służba głównie na placówkach, które były jedyną linią obronną Szkoły Kadeckiej.

Poznań, w październiku 1928.

Adam Skalkowski

Przysięga na polach Kulparkowskich.

Na pogodny, mroźny ranek 10 listopada 1918 r. zarządził kapitan Boruta, dowódca II-giej grupy W. P. w Szkole Sienkiewicza przysięgę.

Pokryte śnieżną powłoką pola, przed Szkołą Sienkiewicza, zaroily się maszerującymi w karnych oddziałach żołnierzami. Przybyły też na przysięgę niewiasty polskie z p. Emilją Jędrzejowiczową, s. p. Wandą Hermanówną i z s. p. Anką Zawadzką — na czele.

Starcy, siwowłosi, dojrzali mężczyźni, młodzież w kwiecie wstęgu, kobiety, studenci, dziewczątka, dzieci od dziesiątego roku życia począwszy, stanęli w jednym karnym szeregu, jedną wspólną ideą owiani i związani.

Wielu między nimi — to żołnierze już starzy i doświadczeni po przebytych kampaniach bojowych, sporo zwłaszcza legionistów, lecz niemało i takich, którym przez tę przysięgę, po raz pierwszy w życiu złożoną, daną była odrazu możliwość stania się żołnierzem-bojownikiem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Ustawiono nas w czworobok.

W postawie na „BACZNOŚĆ!“ słuchamy raportu, który kapitanowi Borucie-Spiechowiczowi, jako dowódcy II-giej grupy W. P., składa osiwiły dowódca 5-go oddziału obrony Lwowa w Szkole Sienkiewicza, kapitan Karol Baczyński.

126 oficerów, 187 podoficerów, 1.050 szeregowców i 96 kobiet złożyć ma w tym dniu przysięgę w naszej grupie.

Przemawia kapitan Boruta.

W męskich, żołnierskich słowach, pełnych zapału i gorącej miłości dla naszej Świętej, która po tyloletniej niewoli znowu w blasku i chwale zmartwychwstała....

A oto godzi w nią, przy pomocy prusko-austriackich bagnatów, ludzi i pieniędzy, — uzurpator.

„Przysięgą stwierdzimy — powiada — żeśmy godni potomkowie naszych rycerskich przodków i nie damy nic wydrzeć z naszego stanu posiadania“.

Zaległa na chwilę zupełna cisza. Palba karabinowa i od czasu do czasu, armatnia, grzmiąca w dali, zwiększa powagę chwili, czyni ją tem uroczystszą.

Kapitan Boruta staje w szeregu przy swoich „kochanych chłopcach“.

Na rozkaz kapitana Baczyńskiego podniósł się las rąk do przysięgi.

Donośnym, pewnym głosem, wymawiane przez kapitana Baczyńskiego słowa z rot przysięgi powtarzamy z kapitanem Borutą uroczysto, z głębokim przejęciem się.

W obliczu nieprzyjaciela u stóp murów Szkoły Sienkiewicza.

W obliczu sześciu mogił, kryjących zwłoki sześciu bohaterów, w odległości niewielu kroków na wieczny spoczynek złożonych, powtarzamy polską żołnierską przysięgę na wierność Państwu Polskiemu:

„Przysięgam uroczysto, że przyjęte na siebie obowiązki żołnierza spełnię zawsze i wszędzie z całą sumiennością, bez względu na trudności i przeszkody, choćby z narażeniem zdrowia i życia własnego.“

Nie zaniedbam niczego, żeby przyczynić się wszelkimi siłami do utrzymania ładu i porządku, być wzorem karności i posłuchu żołnierskiego, wogóle nie zaniedbam nigdy niczego, aby jak najwyżej wzniesić sztandar bojownika za wolność, niepodległość i całość Polski. Hasłem mem będzie: Bóg i Ojczyzna! Tak mi dopomóż Bóg!“.

Józef Klink.

Mały rycerz.

Zjawiłeś mi się dzisiaj na ekranie moich wspomnień, jak żywy.

Tak samo pierwszy przymrozek kasał palce, rozpieszczone upałem lata. I leciały liście z kasztanów, zwiędłym złotem zaściełając chodniki. I tak samo huczały w wichrze jesiennym i szumiały stare, ogromne buki, te buki, których organowych lamentów tak lubił słuchać Kasprowicz, gdy pisał przy tem samym oknie, przez które ja przed dziesięciu laty po raz pierwszy i jedyny zobaczyłem ciebie.

Wszystko było tak samo, tylko stokroć smutniej, niż dzisiaj. Bo dzisiaj umiera tylko ten i ów człowiek stary lub chory, a wtedy setkami umierali młodzi i zdrowi, najdzielniejsi, najlepsi i najpiękniejsi, tacy piękni jak ty, mały rycerzu Polski, chłopięcy obrońco Lwowa. Było smutniej, ale zarazem wznioślej. Wielka tragedia chwili dziejowej chodziła pomiędzy ludźmi i wyobrzymiała ich. Było tak heroicznie i patetycznie, że nawet ty, synu ulicy i suterena, urosłeś na miarę bohatera.

Widzę cię, jakby to dziś było. Trzasnęło kilka wystrzałów, świsnęło kilka kul i ulica nasza na parę godzin przeszła z władania ukraińskiego w moc polską. Ty sam jeden wkroczyłeś jako zwycięzca, pierwszy w tam miejscu żołnierz Polski, po stu przeszło latach z jarzma wyzwoleniej. Tak mało was było w tem mieście, zdradziecko zaskoczonym! Byłeś waleczny jak Achilles, jak Hektor broniłeś ognisk domowych, ale wyglądałeś — wybac mi — jak zwyczajny brzdąc z trzeciej normalnej. W jakimś mizernym płaszczyku, w którym wczoraj jeszcze siedłeś do szkoły, w kaszkieciuku, w który wczoraj jeszcze zbierałeś liście, dojrzale kasztany, stanąłeś w bramie Zakładu Ciemnych, jako strażnik niezłomny wolności. A dumny byłeś i szczęśliwy, nie z odniesionego zwycięstwa — broń Boże! — tylko dlatego, że w swej drobnej piastce ścisnąłeś prawdziwy i naprawdę nabity karabin, który

kolbą oparty o ziemię, wylotem lufy wystawał ponad daszek twojej czapeczki. Spoglądałeś dokoła okropnie bystro, ale równocześnie tak wesoło, jakby to nie była prawdziwa wojna, ale zwyczajna zabawa z kolegami w żandarma i złodzieja. Uśmiechałeś się do wiewiórki, która, skacząc nad tobą po gałęziach sosny, życzliwie pozdrowiła cię puszystym ogonkiem, a potem wyjąłeś z kieszeni jabłko, zwędzone pewnie matce z jakiegoś pudełka, gdy się wybierałeś na wyprawę wojenną i zacząłeś je chrupać ze smakiem, zupełnie się o to nie troszcząc, czy to przystoi... Hektorowi. A choć poczytałeś sobie tak dziecinnie, wierz mi — była od ciebie jasność niemniej świetna, niż od tego jeźdźca niebiańskiego, który na watykańskim fresku Raffaella wypędza z Świątyni Pańskiej syryjskiego łupieżcę i świętokradzcę — Heljodora.

Bo ty i tobie podobni naprawdę wypędzili Heljodora z polskiej Świątyni naszego miasta.

Długo, długo patrzałem na ciebie przez zapocofane okno i zmrokiem zmiotniałe szyby mego okna. A potem zapadła noc czarna i zniknąłeś mi z oczu, jak znikła chwila natchnienia i podniesienia duszy.

Zniknąłeś... na zawsze.

I dobrze się stało, że nie widziałem ciebie już potem, że nie wiem, czy zginałeś i spisujesz sobie w ciemnym grobie, mój ty polski żołnierz nieznany, czy żyjesz, trapiasz się, męczysz i bledzisz, weselisz się rzadko, a smucisz często, upadasz i grzeszysz, a potem oczyszczasz się z grzechu... zwyczajnie jak człowiek.

Bo nie wiedząc nic więcej o tobie, mogę cię widzieć na ekranie mych wspomnień w nieprzyćmionej aureoli tego piękna, którem jaśniałeś wtedy, kiedy byłeś wielkim poetą, kiedy śpiewałeś, nie domyślając się nawet, że to czynisz, najpotężniejszą pieśń, do jakiej zdolna jest pierś ludzka: pieśń bohaterstwa i poświęcenia.

Władysław Kozicki.

Łazik.

W listopadzie, temu dziesięć lat, gdy z za opon ołowianego nieba i mgieł ścielących się po ziemi mlecznym opalem, wyłoniły się pierwsze oddziały żołnierzy, niosących na swych bagnietach wolność i oswobodzenie dla Lwowa, stał Józio u wylotu ulicy i z bijącym sercem przypatrywał się rażno maszerującym oddziałom wojska.

Józio — to wafły, chorowity chłopak, który po ojcu odziedziczył w spadku bałecznie rozwiniętą gruźlicę. Ma wieczorami gorączkę, poci się, kaszle chrypliwie i pluje krwią.

Gdy w ustach poczuje słony posmak krwi, wtedy idzie do kąpika, aby go nikt nie widział i przykłada do ust chustkę, którą po chwili odejmuje purpurową, jak płatek maku polnego.

Józio patrzy na maszerujące oddziały dziarskich żołnierzy, idących ze śpiewaniem na front i jego niebieskie oczy rozszerzają się z podziwu. Serce mu bije ze wzruszenia, a w duszy mu tak lekko, jasno i wesoło, że zapomina o świecie całym i o bólu, co przeszywa mu chorą pierś, niby ostrze szpady. Z siły i ciężzyny maszerujących żołnierzy, idzie na Józia jakiś tajemniczy wiew siły i mocy; rytmicznie brzmiąca piosenka żołnierska upaja go, ze snu budzi i wskazuje — sny o potędze i szpadzie.

I leciałby Józio z żołnierzami w tę opalową, mroczną dal listopadową, gdzie spiżowy dzwoni bi-
je akordem nieśmiertelnej pieśni, nawołującej do Czynu i Zwycięstwa... Stałaby przy boku swego brata, co w krzepkiej dłoni karabin dźwiga i buń-

czucznym krokiem, w takt wesołej piosenki żołnierskiej maszeruje, bogaty w swem ubóstwie, szczęśliwy w swej niedoli i wielki w swem pragnieniu zwycięstwa...

Poszedłby Józio... Oczy płoną, w skroniach tętni i wiatr ramiona prężą się do czynu i wysiłku... Poszedłby Józio...

A tu, w piersiach, ten ból straszliwy... ten ból...

Maszeruje oddział żołnierzy i śpiewa:

— Wojenko, wojenko, cożes ty za pani! Raz, dwa, trzy, cztery! — Raz, dwa, trzy!...

Aż raptem ujrzał Józia, stojącego na chodniku, z rozdziawioną gębą, zapatrzonego w nich, jak w tęczę.

I jakby na komendę, woła cały oddział, zwróciwszy łobuzerskie twarze w stronę zagapionego Józia: Ła-zik!

— Raz, dwa, trzy, cztery! Ła-zik! Ła-zik! Ła-zik!

Józiowi tak gorąco w piersi, a w ustach słono, że aż oddech mu zapiera. Józio wie co to znaczy.

Wchodzi do bramy i chustkę przyciska do ust. Z ulicy wpada przez otwartą bramę, szyderczy i chichotliwy okrzyk: Ła-zik! Ła-zik!

Na chustkę, czerwoną, jak płatek purpurowego maku, pada duża, gorąca łza Józia.

Wilhelm Raort

Bartatowczycy.

Trzebaby zacząć mówić o takich, bo na to zasłużyli. Bywali różni w dziejach wojny, więc skrwawione do ostatniego strzepa Bajończyki, więc Hallerczyk niebieski i radosny. O wszystkich wiadomo, tylko ta podlwowska reduta mało daje głosu o sobie.

Mszana była mocno w naszym ręku. Niechby nie! To przecież łączność ze strzałem, stacja na linii Lwów—Przemyśl. I Bartatów był mocno w naszym ręku. Twierdza pilnie odrutowana, przedpole Lwowa, duma Sikorskiego. A w środku była dziura. Te kilka kilometrów pomiędzy Mszaną a Bartatowem — dziura. Nocą jechało się tam zawsze sankami, śnieżną, białą drogą w oczekiwaniu za którym ciemnym krzakiem skończy się podróż. Emocja przed każdym zagajnikiem. Chybi-trafi. „Wyfasują czy nie wyfasują“? — To było hasło bartatowskich bojów.

A potem te znakomite obiady „pod granatem“. Kwaterę sztabu umieszczono bowiem bardzo pomysłowo: w chałupie, o jakieś sto kroków od bagnistego moczarku. Artylerja nieprzyjacielska miała to bagno doskonale ostrzelane. I pracowała pilnie. I cała jej palba wsiąkała pilnie a pracowicie w grzazki, niedomarnięty moczar. Ani przez myśl nikomu nie przeszło, że może się kiedyś taki wiekański granat pomylić o te sto kroków naprzód. Dowódca artylerji bartatowskiej tłumaczył nam zawsze, że to wogóle wykluczone, więc piliśmy dalej spokojnie czerwone wino.

Ksiądz kapelan chyba jeden nie był z Bartatowa zadowolony. Wieczorem bowiem, kiedy trochę ucichła akcja, podejmowała zawadjacka młodzież sztabowa niebezpieczne zagony pod okno księdza kapelana. Brało się ogromną cegłę, albo inną jaką kłodę i łup z całej siły w księżą chałupinę. Zrywał się nieborak jak oparzony, zrazu w przekonaniu, że to trefer in saecula saeculorum, a potem szedł spać zorientowany, że to głupi kawał towarzyszy stołu.

Lub taki moment pamiętam, kiedy na redutę bartatowską głodną, chłodną a oraz często-gęsto bosą, zjechał Paryż w całej okazałości. Wonny,

w siedmiu futrach, generał Barthelemy. Z miną Nobilego pod biegunem, w otoczeniu żadnych ujrzenia dzikiego luda Francuzów. Więc sensacja w Bartatowie. I uciecha z olbrzymiego bagażu szanownej misji. Bo co mogli przywieźć? Jedno z dwojga: buty albo granaty. Nie, może być. Buty? Albo lepiej granaty.

Rozczarowanie.

— Te, Józku, ni masz prawa cieszyć. To som termosy.

Postęp był w każdym razie. W 30-tym roku przysłała Francja Chłopickiemu ciepłą piosenkę w 1919-tym Sikorskiemu ciepłą herbatę.

A potem sanki widzę w omroczy fioletowego przedmierzchu. Dwa łapiduchy, wesołe „polskie braty“ z Kleparowa wiozą trupa. Wyłowili go w stawie. Munduru nie rozpoznasz ani twarzy topielca. Rozdzielił nas mój bracie zły los. To ja, twój brat.

Za chwilę chrzęści po śniegu Abraham i ryczy ze śmiechu nad Grzesiem ze „Szczutka“, który wziął se parę handgranatów i pojechał pod Bartatów. We trójkę pojechali z Burym Janem i Mackiewiczem. Abraham raduje się, że już zaczynają pisać o Bartatowie. Już, to znaczy przed dziesięciu laty.

Kiedy to wszystko było? Pamiętam, że w śniegu i w zimie. Ale miesiąc? Nie odnajduję go w głowie. Mógłbym sięgnąć na półkę i sprawdzić w historii. Chcę przecież zaufać pamięci, która zawodzi. Stąd przestroga i nauka, żeby te rzeczy utrwaląć, póki czas. I z płyt pamięci, naświetlanych coraz i coraz czemś dziesiętszem, przenosić na lśniące „chromo“. Bo wkrótce będzie zapóźno.

Czas był przecież wielki. Życie układało wówczas poematy, wspanialsze od pisanych nad biurkiem hymnów. A na starość człowiek staje się Odyńcem. I gdy mu wspomnieć przyjdzie o minionej wielkości, sztukuje zmysłem. Iżby się lepiej wydał w oczach potomnych czasów. O Bartatowie trzeba więc zawczasu pamiętać.

Stanisław Wasylewski

OKNO NA PODDASZU.

*tss... ciszej... tu... na prawo... ociemniałym strychem
ktoś błdził poomacku... szeptły rwane — ciche
oddechy zadyszane — ostrożnie — ukradkiem —
stanęli... chłopiec ruchem zatrzymał sąsiadkę.
skądś, z mroku — zabielało światłem od okienka;
czołgali się powoli — karabiny w rękach,
a od ulicy grzmiało... strzelanina bliska
raz po raz tynk ołowiec rozorany pryskał —
dudniało kanonadą... w huk wgrzyzł się wyłomem
terkot karabinowy — z armat grom za gromem...
chłopiec wyrzwał przez okno... wysoko, nad domy
piął pierś mur Cytadeli — czerwony mur, stromy —
rzędem — wskok — poczerwniała kręta tyraljery —
skrawy błysk — urra! zęby szczęknęły mauzerom —
strych zaśmiał się odpowie: nerwowy zgrzyt zamku —
i ręce rozkrzyżował — ów z prawego flanku...
krew w tętnach wre ukropem — dłoń mdleje dziewczęca,
„nabij“ grzmi rozkaz krótki — pal — w lot zamek skreca —
za każdą kulę w piersiach polskiego żołnierza —
za matkę, konające po piwnicznych leżach —
za każdą piędź ulicy, sercu Polski drogą —
krwią za krew dziś odpowie nienawistnym wrogom...
wtem — zda się — wywęszyli czarną okna wnękę:
gromem granat w mur gruchnął... zapłakało jękiem
i tylko śmiechem gromkim wrzasło w Cytadeli
i z okna — na poddaszu — już — nikt — nie wystrzelił*

WŁODZIMIERZ LEWIK

Niezwyciężona barykada.

Było to we Lwowie w listopadzie 1918 r. w czasie słynnych walk orlań lwowskich z Rusinami.

Do państwa Tomaszów przyszedł w odwiedziny siostrzeniec, młody oficer wojsk polskich. Był on także w boju, ale korzystając z kilku godzin odpoczynku, zaglądał do ukochanych wujostwa, jedynych krewnych, jakich miał we Lwowie.

Po doskonałej kawie ze świeżemi bułeczkami — specjalności pani Tomaszowej — nagadawszy się do syta o walkach, jakich był świadkiem, nad wieczorem młody oficer wybrał się w powrotną drogę do swego oddziału. Wuj Tomasz, który rzadko kiedy w tych czasach wychodził, postanowił skorzystać ze sposobności i także przejść się trochę. Wujenka krzywiła się na to, bo bała się złego przy-padku, ale wuj, przyrzekłszy, że wróci niebawem, poszedł odprowadzić siostrzeńca.

Kiedy stanęli na ulicy, zapadał mglisty, chłodny wieczór. Było pusto, cicho, głucho, nieprzyjemnie. Zdaleka wyraźnie słyszeć było pojedyncze strzały karabinowe.

— Jakże to miasto teraz smutne! — rzekł młody oficer.

— Cóż dziwnego? — odpowiedział mu wuj.

W tej chwili gdzieś niedaleko po prawej stronie, jakby w sąsiedniej ulicy, padł strzał. Po nim huknął drugi, trzeci, czwarty.

— Gdzież to strzelają? — zdziwił się oficer.

— A to tu, niedaleko... Jakaś mała barykada... Ciągle tam strzelają...

— Nasi czy ukraińcy?

— Rozumie się, że nasi — mówił wuj. — Prawdę mówiąc, ja tam nie zaglądam, bo zawsze to — gdzie drzewo rąbia, tam trzaski leca...

Młody oficer wsłuchiwał się w strzelaninę. Coś go w niej uderzyło, bo nagle jakby zaniepokojony spojrzał na wuja.

— Wie wuj co? Niech wuj tu zaczeka, a ja pójde popatrzeć... Oni tak dziwnie strzelają...

— No, jak ty idziesz, to już i ja pójde z tobą — oburzył się wuj. — Ale żeś też taki ciekawy! Mało jeszcze widziałeś?

Młody oficer nie słuchał, lecz żywo szedł na przód. Wkrótce ujrzał barykadę. Był to właściwie płytki rów, idący przez całą szerokość ulicy, od

strony nieprzyjaciela osłonięty kamieniami i ziemią. Z tego to rowu padały gęste, nierówne strzały.

Oficer zbliżywszy się do barykady, ujrzał w niej kilka nieruchomych ciał, skurczonych, bezwładnych. Wśród nich klęczał żołnierz i strzelał, zwrócony w stronę długiej, czarnej ulicy.

— Do kogo strzelacie? — zapytał oficer żołnierza.

Żołnierz podniósł głowę, spojrzał na tamtego z jakimś jakby nieprzytomnym zdziwieniem i odpowiedział zachrypniętym głosem:

— Karaimy!

— Wy tu sam? To ranni, zabici? — pytał dalej oficer, wskazując na ciała, leżące w rowie.

— Ta gdzie zabici! — oburzył się żołnierz — ta oni tylko śpią! My tu pięć dni i nocy już na pozycji... Nikt nas nie zmienił... Nie spali my przez pięć nocy...

Oficer przyjrzał się żołnierzowi uważnie. Był to młody chłopaczek, najwyżej czternastoletni.

— Kto tu najstarszy między wami?

— Ta ja, proszę pana porucznika, ta jeszcze i Józek, ten że tu śpi drugi — tłumaczył chłopak — wstawać, pan porucznik przyszedł!

Zaczął tyrać kolegów, ale chłopcy spali jak zabici. Jeden zamamrotał przez sen, drugi chrapał jak lew.

— Trzeba tych malców złuzować. Niech wuj chwilę tu poczeka, ja poszukam ludzi, złuzujemy ich.

To rzekłszy oficer pobiegł przed siebie.

A mały żołnierz czuwał na pozycji. Wystrzelawszy swój karabin, wziął drugi i strzelał tak wciąż, aż wystrzelał wszystkie karabiny. A potem jak klęczał, oparł głowę o kamień i zachrapał na całą ulicę. I było słychać tylko to chrapanie małego żołnierza i strzały w dalekich ulicach.

Nareszcie wrócił oficer z kilku żołnierzami, którzy zajęli barykadę. Trzeba było zbudzić chłopców — ale wszystkie wysiłki były daremne. Biedaki, zmordowane i wyczerpane, spały jak susły.

— Co ja z nimi pocznę? — narzekał oficer.

— Najlepiej będzie przenieść ich do mnie do domu — poradził wuj — to niedaleko, a u mnie ciepło, będą się mogli dobrze wyspać.

— A prawda! — zgodził się oficer — innej rady niema! Dalej, bierzmy ich „na barana“!

Jednego po drugim brali na plecy i tak poprzynosili do mieszkania wuja Tomasza. Wujenka w pierwszej chwili przelekła się, bo myślała, że to

ranni, ale potem pościeliła chłopcom wygodnie, miękko i czysto na ogromnym dywanie, pozносиła z całego domu poduszki, poodpinała pasy i rzemień i ułożyła chłopców do snu. Potem pan Tomasz starannie ustawił w kącie broń i złożył na jedno miejsce ładownice i puste chlebaki. A choć już było dość późno, pani Tomaszowa zaraz posłała służącą wyprosić od znajomych trochę mleka do kawy dla chłopców.

Na drugi dzień późnym rankiem pani Tomaszowa wzięła tacę pełną różnych dobrych rzeczy i poniosła swym gościom śniadanie. Spali jeszcze, trzeba ich było zbudzić. Ziewając i pomrukując pod nosem, przeciągali się sennie, aż jeden z nich, otworzywszy oczy, aż usiadł nagle na posłaniu.

— Co to jest? — spytał jakby ze strachem — gdzie my jesteśmy? Chłopcy!

Zerwali się przerażeni.

— Do niewoli nas wzięto, czy co?

— Do jakiej niewoli? — uspokajała ich pani Tomaszowa. — Jesteście u swoich, w polskim domu, kawy się teraz napijecie, bułeczki świeże są...

— A gdzie broń? — spytał ten najstarszy, co to wczoraj strzelał.

— Tam stoi, w kącie...

— Jakim sposobem myśmy się tu wzięli?

— Pospaliście się, dzieci, na tej barykadzie, więc was tu mój mąż z Adasiem poprzenosił... „Na barana“ was nosili...

— Jezus Marja! — krzyknął zrozpaczony „najstarszy“. — Wstawać, chłopcy, alarm!

Wszystko rzuciło się do butów i do broni.

A najstarszy, szamocąc się z nieposłusznym butem, kłął przez zaciśnięte zęby:

— Takie łajdactwo! Bez naszej wiedzy z pozycji nas zdjąć! I to na plecach jeszcze nosili! Polski dom niby, Polacy — a żołnierzy z pozycji zdejmują! Łajdaki! Kus! z tą kawą! Nie chcemy!

— Z pozycji nas zdjąć!

Bułkę tylko jeden z drugim porwał i już załomotały na schodach szybkie kroki chłopaków, lecących na swą ukochaną barykadę. A klęli wciąż na panią Tomaszową, ile wlaźło.

Zaś pani Tomaszowa ręce załamała i osłupiała stała nad dymiącą kawą, a z ust jej dobywały się drżące słowa:

— Dzieci! Moje dzieci!

I płakała, ale płakała z radości, że takie to dzielne były chłopaki.

Jerzy Bandrowski

Plagi obleżonego Lwowa.

(Urywek z większej całości).

...Cofając się poza miasto oddziały ruskie rozłożyły się pierścieniem żelaznym wśród wsi okolicznych polskich, w gruz i perzynę obróconych. Wysadzano mosty, przerywano wciąż linie kolejowe, pociskami zasypując pociągi. A po wsiach i miasteczkach spalano spichrze i stodoły z całym sprzętem, wybito i uprowadzono bydło, poginęły w polu jarzyny i zamary nie wykopane ziemniaki. Cóż dziwnego, że we Lwowie nastał głód.

Od szeregu tygodni napróżno zebrano o kroplę mleka dla niemowląt. Napróżno ich drobne usteczka szukały pokarmu w wyschłych piersiach matek. W innych szczęśliwych miastach biała kawa, smaczne bułeczki, maselko, mięso, jarzyny. Dzieci, dobrze odżywione, miały całe sukienki i buciczki, kładły się spać spokojnie do czystych łóżeczek w dobrze ogrzonym pokoju.

A we Lwowie...

O, ta noc rozpoczynała się wcześniej. Już o czwartej popołudniu. Dnia 28 grudnia o godzinie siódmej wieczorem nagle wszędzie zapanowała ciemność. Na ulicach i w domach, w sklepach, urzędach, mieszkaniach bogaczy i najbiedniejszych. Wróg zniszczył centrale elektryczną. Ciemności ogarnęły miasto, przerażone i bezradne. Zapanała noc straszna. Gromady zaskoczonych przechodniów kupiły się po ulicach, od błota i śniegu oślizgłych, niebezpiecznych, pełnych zdradzieckich zasadzek i pułapek. A w domu również nie czekał najbiedszy poblask lampki lub świeczki, najczęściej brakło nawet zapalek, by choć na chwilę rozprószyć noc i uspokoić płacz wystraszonych dzieci. Tymczasem strzały stawały się wciąż bliższe. Już nie odgłos dział, ale salwy karabinowe rozszalały się u rogatek, a nawet na ulicach ociemniałego miasta. W noc tę straszną rozpląkały się chyba anioły-stróże, zdjęte grozą i litością na widok łez nieszczęśliwych dzieci.

Czy wy tam w innych, szczęśliwych miastach, możecie sobie wyobrazić życie bez światła? Czy wiecie, co to jest, gdy nie płoną latarnie, te dobre stróże ulicy? Gdy gazety i pisma nie wyjdą, gdyż drukarnie są nieczynne z powodu braku oświetlenia, a maszyn nie porusza prąd?

A potem wróg zabrał wodę. Dwakroć tysiącne przeszło miasto umierało w mękach pragnienia. Zbrodnicza ręka bratobójczego Kaina przecięła dopływ ze źródeł. W nocy z dnia 26 na 27 grudnia wpadły silne oddziały ruskie do Dobrostan, skąd zabrały najpotrzebniejsze części maszyn wodociągowych, takie małe, napozór nic nie znaczące kółka i sprężyny, drobne serce potężnego mechanizmu. Na trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia Lwów obudził się bez wody. Puste były olbrzymie akwadukty, puste zbiorniki i rury, wyschłe stały

podkręcane kurki. Stały wszystkie maszyny, poruszane wodą lub parą, chłodem przeraźliwym zionęły wspaniałe budynki, centralnie ogrzewane. Przy nielicznych pompach i studniach publicznych od bladego świtu do późnej nocy tłoczyły się na zimnie i deszczu pod ogniem granatów nieskończenie długie ogonki smutnych kobiet z konewkami i garnkami, pragnących zdobyć bodaj kilka kropel najdrogocenniejszego płynu. Ludność nie kąpała się, nie myła się nawet... Przez całe miesiące chorym i rannym wydzielano się odmierzane racje wody. Napróżno czerniały gorączką, popękane, zaschłe wargi obrońców Lwowa błagały o jeszcze jedną kroplę wody. Nie było jej do opatrunków, do przemywania ran, do obmywania jedzonego przez wszy i pokrytego warstwą brudu żołnierza. Nie było do wyprania bandaży i bielizny, lepkiej od potu i krwi, do dezynfekowania ubrań ludzi chorych zakaźnie.

Miasto dusiło się w wyziewach straszliwych, unosiły się nad niem groźne opary zgnilizny, nieczystości i zarazy. Spełniło się proroctwo Jeremiasza: „Wodę naszą piliśmy za pieniądze!” Z powodu braku wody stały rzeźnia i gazownia.

Przecięto nerw życia...

Nad Lwowem przez pięć miesięcy szalała zawierucha pocisków. Artyleria nieprzyjacielska, kierowana ręką niemieckich kondotjerów, siała w mieście śmierć i zniszczenie. Granaty i szrapnele leciały w stronę przypuszczalnych schronisk komendy lub stanowisk artylerji oraz w kierunku zabudowań rządowych, jak dworzec, ratusz, koszary; godziły w szpitale, kościoły, wrywały płatami żelazo dachów i ceglane cielska murów. Całe miasto przez pięć miesięcy było jednym otwartym celem dla plużących nieustannym ogniem armat, całe miasto trzęsło się wszystkimi żebrami, szczekało szybami popękanymi, a bite tysiącami pocisków, wołało krzykiem przerażonych dzieci, jęczało śmiertelnym rżeniem rannych i zabitych na ulicy i w mieszkaniach. Codziennie do listy ofiar przybywały nowe: Lwów stał się jedną otwartą raną.

Pospadały ze szczytów kościołów smukłe wieżyczki i iglice, rozerwane budynki zionęły ranami zrujnowanych gniazd ludzkich, a w nocy horyzont zapalał się łunami pożarów ostatnich wsi polskich, a ciemną oponę nieba przerywały raz poraz błyskawice czerwone, rozpryskujące się piekielnymi gromnicami śmierci. Huk obłokańczy wstrząsał martwą ciszą osłupienia, leciał ponad zastygłe w przerażeniu domy i serca ludzkie, a od piorunów tych z łoskotem padały domy i cicho ze śmiercią bratały się serca ludzkie... W piekle rozszalałych pocisków Lwów okaleczały konał.

Janina Łada Walicka

I ja także...

Mała Bronka niesie wielki dzban wody ze studni. Przechyliła się mocno na lewo, aby zrównoważyć ciężar i przyspiesza kroku, człapiąc piętami, które wyllaża gołe z matczyne go pantofla. Szkoda dzisiaj czasu na cerowanie pończoch, a o kupieniu porządnych butów ani myśleć. Byłe na dziś było co zjeść i aby wody w domu nie brakło. Wszystkie inne roboty — a tyle ich razem! — wydają się jej głupie wobec tego jednego, ciężkiego podwójnie zadania. Studnia — niedawno jeszcze ulubione miejsce zabaw z rówieśnikami — stała się trudną do zdobycia twierdzą, narzędziem udręki jej małych rąk i nóg. Nie widać strumienia wody, ani ocembrowania z za tego żywego, czarnego muru, który oblepił studnię dokoła. Cała ulica chce wody, czeka na nią, jak na zbawienie. Iść w dzień, to znaczy stać tu godzinami, a przyjść wieczorem — to po odczekaniu swojej kolejki, można się i do domu nie dostać.

Właśnie dziś Bronka przyszła później, myśląc, że zastanie mniej ludzi z dzbankami. Gdzież tam! Ciemno już, o dwa kroki ani czego dojrzyysz, pod nogami piętrzą się góry śniegu i oślizłe, potłamsane wały lodu, a w dziurach pomiędzy niemi czają się bajury wody i błota. Bronka posuwa się coraz wolniej, poomacku szukając lepszych ścieżek. Dzban ciąży coraz bardziej. Nie świeci się ani jedne latarnia, nawet księżyc dziś niema. Aby prędzej, aby do domu!

Nagle świsnęło, błysnęło i grzmot się rozległ taki, że Bronka z przestachu aż przypadła do ziemi. No, chwala Bogu, nie zabiło jej. Ale gdzie dzbanek? Znalazła go nareszcie — pusty, oblepiony błotem. Cała jej męka na nic. Kiedyś możeby się uciekła do najtańszego choć najmniej skutecznego źródła pociechy — łez. Ale teraz cała jej uwaga skierowana w innym kierunku. Strzelają z armat. Taki granat nigdy sam nie przychodzi — Bronka zna się już dobrze na tem. Zaraz usłyszy drugi i trzeci. Serce jej załomotało w nagłym panicznym strachu. Właśnie przecież, że kiedyś umrzeć musi, ale nie chce teraz, nie chce! Zginać, jak żołnierz w bitwie, to co innego — ale być małą, głupią dziewczyną i paść tak niepotrzebnie i bezradnie do błota z dzbankiem wody — nie, nie!

Zawsze pragnęła być żołnierzem i zabawa z chłopakami w wojsko była dotychczas największą ambicją małej Bronki. Ale oni nie chcieli jej przyjąć do swego grona — i zawsze kończyło się na szturchaniach i płaczu:

— Ta idź, Bronka, czego się pchasz między nas? Patrzcie, i ona także!

— Chciała sama, a teraz beczy!

— Na wojnie, jak na wojnie, moja panno!

Teraz nie widuje już ani Felka, ani Bółka, ani Stachia, ani nawet brata swego, Józka. Bolek jest naprawdę żołnierzem — dostał prawdziwy karabin i broni Lwowa na Cytadeli. On już duży, ma lat aż czternaście! Felek i Stach gdzieś się zapodzielili — może także poszli się bić — a Józek jest kurjerem i lata na placówkach z ważnymi rozkazami. Szczęśliwi! Bronka chciała, aby ją Józek przynajmniej raz z sobą zabrał, ale ją odepchnął ze słowami: „Jeszcze tam ciebie brakuje!”

— i poleciał. Pewnie, taka mała i do tego dziewczyna! Ona sama wie, że „tam” nie byłoby dla niej miejsca.

Zboczyła z drogi i schowała się za węgiel domu. Naraz przewiercił znowu jej ucho znajomy, świszczący szept — i brmm! — z rogu przeciwległej kamienicy posypał się gruz. Bronka odruchowo czmychnęła do jakiejś bramy. Nie, i tu nie będzie bezpieczną. Przecież granat, jeżeli ma trafić, to wszędzie człowieka znajdzie. A tymczasem zamkną bramy i nie będzie wolno pokazać się na ulicy bez przepustki. Trzeba zmykać! Tak, ale w domu niema ani kropli wody. Ojciec czeka. Przecież nikt mu nie usłuży, odkąd matkę, chorą z tej całej udręki, zabrali do szpitala, a Józek goni gdzieś światłami i tylko czasem się pokaże, zdyszany, zasmolony i głodny. A ojciec musi rano iść do roboty, kiedy jeszcze ciemno...

Bronka spojrzała w czarną czeluść miasta, skąd nie szedł ku niej żaden błysk pomocy, żaden szept pociechy. Jest sama i nikt jej nie poradzi! Gdzież tam dudnią armaty i syją się, jak groch, strzały karabinowe. Tam się biją — biją się o to, aby Lwów był w Polsce, a we Lwowie była Polska. Nic, tylko wytrzymać! Pewnie i Bolek strzela. Może Józek przekrada się w tej chwili ku pozycjom pod deszczem kul...

Wyprostowała się Bronka, zebrała się w sobie, podjęła dzbanek i już bez lęku i namazkania skienowała się z powrotem ku studni. Zabije — nie zabije? Wszystko jedno! Jeżeli zabije, to Bronka przestanie istnieć i męczyć się, mała szkoda! — a jeżeli nie zabije, no to tem lepiej! Z jakimś humorem, który niewiedmo skąd na nią przyszedł, poczołgała się do opustoszałej już studni. Zakotłosały się od wiatru drzewa i zaszleściły bezlistnymi gałązkami: „Musisz wytrzymać!” A woda lejąc się do dzbanu, bulgotała: „Dalej, dalej, dalej!” Pewnie, że woda wytrzyma i drzewa wytrzymają...

Bronka, niosąc dzban ostrożnie, jak skarb, potoczyła się po wybojach i kałużach do domu. W izbie kładł się po sprzętach czerwony mrok. Gasnąca świeczka pryskała resztkami płomienia. Było zimno i jakoś strasznie. I brudno. Wody zamało i ręce Bronki nie wystarczą na tyle roboty. Ojciec siadł chmurny w kącie i nawet nie opowiada, co tam u naszych na froncie. Czasem wie dużo od ludzi... Ale dziś nie chce gadać. Bronka rozpała ogień i szuka, z czego by ugotować wieczkę. Wczoraj znalazła jeszcze parę ziemniaków w piwnicy, dziś na obiad dostała trochę kaszy od pani z pierwszego piętra za przyniesienie wody. Teraz i tego zabrakło. Jest tylko mały okrawek chleba i resztką kaszy na dnie woreczka. Bronka kładzie się głodna spać i powtarza sobie: „wytrzymać, wytrzymać!” — a lzy jej kapie na brudną poduszkę.

*

W dwa lata później była w mieście wielka uciecha. Lwów święcił rocznicę swojej chwały. Przyjechał sam Marszałek Piłsudski, mrowie ludu wyległo na miasto i parada była, aż w oczach ćmiło. Bronka wcisnęła się w ciżbę między jakąś grubą panią, a wysokiego chyba na dwa metry policjanta i próbowała głowę wystawić, jak ryba, kiedy chce złapać w powietrzu komara. Uda-

ło się jej tylko raz, ale w chwili najważniejszej, i złowiła dwa słowa, które powiedział pan Naczelnik Państwa, kiedy oddawał prezydentowi Lwowa krzyż na czarno-niebieskiej wstążeczce, taki, jaki noszą najdzielniejsi oficerowie, ażeby go przypiąć do herbu miasta. Piękne słowa: „Miastu-żołnierzowi!”

Bronka, nakryta znowu łokciami i plecami ludzkiemi, trzyma te dwa wyrazy w pamięci i przebiera je w myśli, bo już są jej. Nie powiedział: „żołnierzom Lwowa”, ani: „tym, co obronili Lwów” — ale całemu miastu. Nietylko żołnierzom, a także doktorowi, co rany opatrywał i panience-samarytance i księdzu, który chował poległych... Kobiętom, co jeść żołnierzom dawały, i robotnikom, bo chodzili pracować, kiedy granaty w miasto waliły, i kolejarzom, bo pomagali pol-

skiemu żołnierzowi — i sklepiczarce, która chleb ludziom sprzedawała. I tej pani, która żałoby nie zdejmuje i chodzi codziennie na cmentarz, gdzie leży jej Jurek. Nawet tym dzieciom, co wtedy do szkoły chodzili, piechotą, nie tramwajem. I tym studniom, które ludzie poili, gdy kunki wodociągów były puste — i tym kamienicom, co nie pozwoliły się zdobyć, domom-fortecom i drzewom od kul poranionym. I nawet takiej sobie ot, dziewczynce, Bronce... Cały Lwów był jednym żołnierzem!

Mała stała na palcach, chociaż nic nie widzi, a serce się tłucze radośnie: „I ja także!” A z niem tętni żywo, sto tysięcy serc tym samym rytmem: „I ja także, i my także!”

Michalina Grekowicz-Hausnerowa

Twarda służba.

Otworłam kiedyś mimochodem jedną z szuflad mego biurka. Ze stosu papierów, wysunął się naale pakiet różnokształtnych gazet i rozsypały się z szelestem wycinki z czasopism, znaczonej ważną, brzemiennej w wypadki datą: 2... 4... 7... 17... listopada 1918 r.

Pamiętam... ile radości niosły wówczas te gazety w posępną atmosferę „ukraińskiej” części Lwowa, nekanej trjumfalnemi, a pełnemi kłamstwa wiadomościami pism ruskich czy niemieckich. W takt strzałów karabinowych, w huk wstrzasającym szybami, pracowały niestrudzenie redakcje naszych czasopism. W opustoszałych drukarniach, turkotały linotypy, a chłopaczyska zuchwale wołały po ulicach — „Kurjer! Kurjer!”, zmykając przed każdym „herojem”, czyhającym tylko na to, by im gazety z rąk wyrwać i cisnąć w błoto.

— Stoimy na posterunku — wołali dziennikarze lwowscy. Podkreślali na swoich łamach, grożące miastu niebezpieczeństwa, malowali nastroje, ogarniające ludność po „ukraińskiej” stronie, nie lękali się rzucać pod adresem nowych „rządów”, słów krytyki i oburzenia, ni wołać z dumą i wiara: „W tej wojnie, zwycięską pozostanie tylko jedna idea: słuszości i sprawiedliwości, a ta jest niewatpliwie po naszej stronie”. Krzepili serca radosną wieścią, że ukazał się nad miastem samolot, o barwach czerwono-białych..., że placówki polskie posuwają się coraz dalej. Opowiadali o bohaterskim uczniu gimnazjalnym, który zraniony ciężko w ramię wołał z żalem: — Komendancie, jaka szkoda że nie mogę dalej walczyć! — Cytowali żelazną energią tchnące zdania rozkazów; odezw Naczelną Komendy Wojsk Polskich...

Zawieszenie wydawnictw polskich, stało się dla „ukraińskiej” strony miasta istotną klęską. Ale z tem

większą chciwością rzucono się podówczas na tajne, ulotne pisemka „Głos” i „Głos polski”, — a zwłaszcza na „Pobudkę”. Z tej to gazetki, redagowanej „w cieniu miecza”, kolportowanej przez śmiałych urwisów lwowskich, przemykających się chytrze przez front, w żarze pękających szrapneli, — z tej to przedziwnej gazetki, płynął w dusze wątpiących słoneczny strumień nadziei.

— Ida! ida! — Już są blisko! — wołały zdania komunikatów wojennych, nazwy ulic coraz bliższych śródmieścia. Bo z chwilą każdą, zmieniało się w czyn zwyczajski każde słowo przysięg, czcionką czarną i krwią serdeczną pisanych:

... „Polsko! My wierzym, że przez nasze boje Ty w życie nowe i moc się odrodzisz,
Więc nas dziś krzepi wielkie imię Twoje:
Wierzym, że przyjdiesz, że nas oswobodzisz.

Były gazety lwowskie w owym pamiętnym listopadzie — najważniejszym, najsilniejszym łącznikiem serc, rozdzielonych płonącym wałem frontu. Były echem modlitw, rozbrzmiewających po kościołach lwowskich i pragnień, żywionych przez setki tysięcy dusz.

Wówczas, przed dziesięciu laty, nie znałam jeszcze podniecającej rozkoszy pisania dla prasy, wielkiego, choć niewdzięcznego często trudu dziennikarza, pracującego na to, by dać tysięcznym rzeszom codzienną strawę duchową. Ale chowając na dno szuflady między skarby najdroższe ów pakiet różnokształtnych gazet lwowskich i garść wycinków, pamiętną, listopadową datą znaczonej, zrozumiałam sercem kilkunastuletniej dziewczynki jedno, najważniejsze: że dziennikarstwo może być — i być powinno — twardą, żołnierską, świętą służbą.

Janina Królińska.

Garść wspomnień dziennikarza.

31 października 1918 r., powróciwszy o g. 4 po południu z redakcji do domu, zastałem w saloniku dwie urzędniczkę pocztowe, które przybyły zawiadomić mnie poufnie, iż o świcie 1 listopada nastąpi zajęcie przez Ukraińców urzędu telegraficznego na poczcie głównej. Dowiedziały się one o tem przypadkowo z urywków rozmowy, prowadzonej przez koleżanki-Rusinki i uważały za swój obywatelski obowiązek poinformować mnie w przekonaniu, że z mojej strony uczynię wszystko, by zakomunikować fakt niezaprzeczenie ważny komu należy.

Pospieszyłem niebawem do ratusza, gdzie odbywało się właśnie posiedzenie Rady miejskiej. Zaprosiwszy prezydum miasta i radnego Szczurkiewiczza, urzędnika dyrekcji poczt i telegrafów, do osobnego pokoju, wyłuszczyłem im rzecz całą z wszelkimi szczegółami. Niestety, zbyt moje przedstawienie, krótko i węzłowato, iż są to zwykłe plotki, że miastu nic nie grozi, a zaniepokojone panienki mogą bez obawy iść na służbę nocną.

I bez tych cennych rad nie zawahałyby się one przed spełnieniem obowiązku. Na służbę istotnie poszły, wczesnym rankiem jednak wkroczył do biur oddział żołnierzy ukraińskich i oporne powyrzucał bez ceremonji za drzwi, a i ratusz nie uchronił przed inwazją straży ogniowej z toporkiem, pozostawiony tam na noc, „na wszelki wypadek“.

W Kasynie i Kole literacko-artystycznym, jakby w przeczuciu zbliżających się wydarzeń dziejowego znaczenia, było ludno i gwarno. Przy stolikach w sali restauracyjnej i po kątach prowadzono głośno, to znowu półgłosem dyskusje bardzo ożywione. Co chwila przybywał ktoś z nową wiadomością, nierzadko bardzo sensacyjną i wybuchającą. Około godziny 10 wieczorem organizacja wojskowa objęła w posiadanie klubowy aparat telefoniczny, co wywołało piorunujące wrażenie i skłoniło plotkliwe istoty do usunięcia się w zacisze domowych meleszy.

Północ biła, gdy doniesiono nam, iż Ukraińcy zajęli koszary zwane Czerwonym Klasztorem. Na tę wiadomość obecny w Kasynie dyrektor policji dr. Reinlender udał się z towarzyszem na miejsce, by przekonać się, że informacja była przedwczesna. Po jego powrocie rozeszliśmy się do domów; nazajutrz rano przejeżdżające ul. Zieloną auto ciężarowe, wypełnione żołdactwem ukraińskim, hałasującym i strzelającym w powietrze, kazało mi stwierdzić smutny fakt, iż żyjemy w „ruskim“ Lwowie.

Postanowiłem za wszelką cenę dostać się do redakcji „Gazety Lwowskiej“, znajdującej się wówczas przy ul. Podwale. W ulicach Czarnieckie-

go, z kolei Wałowej zawrócono mnie brutalnie, przemknąłem się więc ku ul. Cłowej, gdzie jedynie przez podbicie karabinu atakującemu mnie żołnierzowi, uniknąłem śmierci. Wróciłem więc do domu, by tam wyczekiwać sposobniejszej chwili zetknięcia się z kolegami.

Mała dygresja o kilka miesięcy wstecz:

Pewnego dnia zjawiła się u mnie w redakcji delegacja wojskowa ukraińska z zaproszeniem, żebym przybył do Kamieńca Podolskiego i tam w sali Puszkina wygłosił kilka prelekcji o ziemiach ukraińskich. Posunęła się ona w swej uprzejmości tak daleko, iż zgodziła się na język polski odczytów. Na Podole nie pojechałem, zaproszenie jednak, odtłoczone bardzo artystycznie, w kilku barwach, schowałem w domu do biurka. Odegrało ono znamienne rolę w miesiącu „ruskim“ Lwowa. Siedzę z rodziną przy rannej śniadaniu, w tem rozlega się silne walenie w drzwi. Otwieram je. Do przedpokoju wpada kapral z kilku szeregowcami w pełnym uzbrojeniu, rzucają się do szaf i kufrów w poszukiwaniu broni. Kapral otwiera biurko i chwytając do rąk ozdobne kamienie zaproszenie.

— A to szo? — pyta.

— Czytaj pan.

Przeczytał, wyprostował się, przyłożył rękę do czapki i po chwili opuścił moje mieszkanie z całą, wojowniczo zrazu nastrojoną, kompanją.

Zaraz na drugi dzień po „opanowaniu“ Lwowa, przypuścili ukraińcy szturm na redakcję „Gazety Lwowskiej“, pragnąc ją za wszelką cenę skłonić do kontynuowania wydawnictwa dziennika urzędowego z równorzędnym tekstem polsko-ruskim. Do pertraktacji wyznaczony został z ich strony minister oświaty dr. Tomaszewski, którego patrol, ustawiona na schodach, wiodących do redakcji, mimo legitymowania się przepustkami, potraktowała bynajmniej nie po europejsku. Narady nie doprowadziły w ostateczności do żadnego rezultatu. Sprawę przewlekaliśmy, wysuwając coraz to nowe zastrzeżenia i postulaty, skutkiem czego nie ukazał się ani jeden numer ruskiej gazety urzędowej. Stanęli wprowadzić zecerzy-Rusini u kaszt 21 listopada wieczorem, ustąpić jednak musieli niebawem miejsca Polakom. W dniu 22 listopada „Gazeta Lwowska“ odżyła.

I jeszcze jeden fakt znamienity: W lokalu ekspedycji „Gazety Lwowskiej“ umieszczono oddział wojska ukraińskiego, strzegący namiestnictwa. Pałł on przez czas swego tam pobytu w piecu rocznikami „Przewodnika Naukowego i Literackiego“.

Michał Rolle

Powstańcy.

— Rany Boskie! Ależ to biją, że chałupa się trzęsie.

— A cóż, mama nie wie, że to wojna? Do szczyłania mama jeszcze nie przyzwyczajona?

— Cóżes taki mądry Felek i uczysz matkę? Widzicie go! O, to gdzieś koło nas buchnął granat.

— A niech se bucha, cholera ruska. Już jak my im buchniemy, to będzie dopiero.

— Ino z czego? Armat przecie nie mamy.

— Będa, bo ie zdobędziemy.

— Pewnie ty to zrobisz. Chryste, znowu!

— Mccyje! Wywalił gdzieś i nie pewnie nie zrobił. A mama zaraz gwałtu.

— Siedź cicho, raku! Nie wiesz to, że ojciec poszedł i tam teraz w tem zimnie...

— Miał siedzieć w chałupie, jak się Polska robi? No nie, Józek? Ma teraz robotę, to nie ma czasu się bać. Jabym też się nie bał. I ty Józek?

— Takie mikrusy, nie o wojnie wam... Znowu!

— Nie rób mama harmideru! A z tymi mikrusami to też nie tak, jak mama mówi. Tacy, jak my, są we wojsku. Mamy już prawie po czternaście lat.

— Żeby ci nie powiedziała, jacy to żołnierze.

— Gadaj se mamą, co chcesz. a my wiemy swoje. Nie nosiłem to do zajętej części Lwowa „Pobudki“, nie widziałem? Tylko mama zawsze przeszkodzi. Poco było mnie do domu ściągać? Teraz wstyd tylko, że nie noszę. Mogę to, skoro mi mama zabrała buty?

— Dość już, że ojciec tam jest. On powinien, ale nie takie baki!

— E, nie zna się mama na wojsku. Duch musi być!

— Dam ja ci ducha z takim gadaniem. Teraz kogoś trafiło na ulicy, bo jęczy.

— Wyjdziemy zobaczyć.

— Ani się ważcie! Ja sama.

— Kiedy się mama boi.

— Ej, bo cię zdzieli! Lecę i zaraz wracam.

W suterrenach zapadał już mrok. Trzeszczały po ulicach strzały karabinowe, ryczały granaty i szrapnele, a wszystko to mieszało się z wyciem jesiennego wichru, który w tym dniu miótł w dodatku ostre igły śniegowe.

Felek i Józek, bliźniaki, podesunęli się pod okienko, tuż prawie przy chodniku.

— Do diabła z takim mieszkaniem! Nogi tylko widać. Dymnąć nie można, bo matka z temi butami. Józek!

— Co?

— Pożycz mi butów!

Józek, zawsze milczący, powoli odpowiada, jakby ważył każde słowo:

— Butów?

— No, pewnie, że nie fortepianu!

— Gdybym miał dwie pary...

— Cóżes to hrabia? Masz jedne. Nie potrzebne ci, bo siedzisz w domu.

— Tak, ale ja właśnie...

— Ty też? A ja myślałem, że ty taki mamin bubek!

— Widzisz, bo skoro ty musisz siedzieć w domu...

— Józek, mój Józek! Nie będę musiał, jak mi dasz buty.

— Tyś już był, a ja nie. Jeśli nie wezmą do wojska, to i ja „Pobudkę“.

— Nie dasz rady — przerwał Felek, tonem doświadczonego — tam trzeba wiedzieć, umieć w nocy przez linje przeleźć i tak rwać, żeby cię kula nie trafiła. A tam, po tamtej stronie morowo trzeba się zwiijać, by nie wpaść im w łapy, bo kula zaraz w łeb. Ho, ho!

— Dam radę Feluś.

— Niema co! Dawaj buty!

— Nie dam, Feluś! — powiedział stanowczo.

Chwila ciszy. Obaj nadśłuchują, jak grzmocą strzały i wyje wicher. Wreszcie Felek, widząc, że inaczej nie poradzi, zaczyna:

— Słuchaj, Józek. Zrobimy tak: pożycz mi pod słowem honoru, no, wiesz takim żołnierskiem, buty na trochę.

— Jakto?

— Dasz buty, ja pójde do komendy odcinka, tam mam kolegów w wojsku, wydostanę gdzieś jakieś buciska, a te ci odeślę przez kogoś. Słowo wojskowe! Rozumiesz? Chyba, że mnie po drodze trafią. Ale ja mam szczęście. Wypróbowałem. No, prędzej, bo mama wróci. Skoro i ty chcesz, toś kolega, a kolega musi pomóc.

Ten argument poskutkował. Józek zdjął buty, Felek w mgnie ubrał i wyleciał, jak z procy.

Za pół godziny przysłał istotnie buty z powrotem i nagryzmołoną kartkę, że mają się spotkać obok gmachu komendy odcinka Szkoły Konarskiego. Wieczorem zgłosił się do nas chuderlawy chłopczyna, z prośbą o przydzielenie go do przemycenia za front „Pobudki“.

— Brat mój już nosił — mówił — i nauczył mnie, ale on teraz z karabinem, bo jest starszy i silny, jak nie wiem, co!

— Dobrze, zgłosisz się u żandarma w drukarni.

— A jak mi nie da?

— Zrobimy. Tylko uważaj!

— Wi się!

— Pójdiesz na razie z drugim.

Poszedł i spisał się doskonale. Już kilkakrotnie przełaził front, wreszcie kiedyś w nocy, przed nowym transportem, spotkał mnie na ulicy i zaczął.

— Proszę pana...

— Co? A usui się, bo padają strzały.

— E, głupstwo — powiedział tonem starego „wojaka“ — nie dziwne mi. Czy mogę prosić, by ktoś zaniósł tę kartkę.

— Do kogo?

— Do mamy. — Złął się, że może za dużo powiedział i zaraz dodał:

— To nic, tylko taki interes domowy.

— Dobrze. Gazety wziąłeś?

— Mam już i zaraz idę. Cześć!

Podał kartkę i zniknął w mroku nocy.

Na kawałku odwrotnej strony odezwę komendy, nasmarowane były te proste, śliczne słowa:

„Nie gniewaj się mama na mnie i na Felka, ale przecież musieliśmy, bo mało ludzi. Nie trzeba się o nas bać. I niech mama nas nie szuka, bo po wojnie sami się znajdziemy. A tak, byłby znowu wstyd. Teraz my razem z tatą. Niema nikogo w domu, to i mama może do sanitetek. A Felek ma buty całkiem nowe, więc tamtych nie zniszczy“.

Na rozczuleniu nie było czasu. Wnet też o tem zapomniałem. W kilkanaście dni potem odwiedziłem kolegę w szpitalu. Już wychodziłem, kiedy mnie doszedł słaby, dziecienny głos:

— Proszę pana!

Odwrociłem się. W rogu sali Politechniki, przemienionej na szpital, leżał obandażowany chłopiec. Miał rękę przestrzeloną. Poznałem Józka.

— Nie wiedziałem, żeś ranny. Boli?

— Nic już teraz. Trochę bolało z początku. Wstanę za kilka dni i znowu pójdę z „Pobudką“.

Noszą dobrze?

— Dziękuję! Noszą, noszą — mówiłem, kryjąc wzruszenie — a ty nie myśl o tem! Dobrze ci tu?

— Ojej! I tata tu jest. Ale z nim gorzej, bo go skrobneśli w nogę. Niech się pan zapyta, czy będzie z nim dobrze. Pielęgnację ma, bo go mama pilnuje. Posłuchała mnie i jest u sanitetek. O idzie.

Podeszła do łóżka skromna kobiecina i pochyliła się nad dzieckiem.

— Zuchów pani ma!

— A no, te raki i takby nie były usiedziały w domu. Skoro tak potrza... O tych dwóch jestem już spokojna, ale Felek — zatroskała się serdecznie.

— Nie bój się mama — szepnął Józek — da się radę. On morowy. — Ale proszę pana, my ich wywalimy z naszego Lwowa?

— Bądź spokojny. Wywalimy ich, a wtedy ty, twój tata i Felek dostaniecie odznaczenia.

— Nam nie o to... O Polskę! Prawda mama? Tak, jak mamy dziadek w powstaniu. Opowiadała mama.

— Opowiadałam. A teraz leż cicho i nie kręć się, bo bandaż.

Spieczono gorączką wargi szepcą:

— I my byliśmy powstańcami, tylko nam się już uda...

Artur Schroeder

1863

(Urywek z większej całości p. t. „Tułacze“).

Krasuski siedł cały dzień wśród tego samego wiaży błota i deszczu, nic prawie nie jedząc. Nad wieczorem przyszło nań wielkie zmęczenie. Z trudem dowlókł się do jakiejś obskurnej karczmy. Włazł śmiało do izby, mimo, że nie miał ni grosza. Obok szynkwasu, przy wielkim stole siedział tegi żyd i czytał półgłosem z wielkiej księgi. W drugiej izbie śpiewała smętnie dziecku żydówka.

— Dobry wieczór — rzekł w progu Krasuski.

— Dobry — odparł karczmarz.

— Siadę na chwilę.

— Siadajcie.

— A może przenocujecie mię? Deszcz...

— Nie. Mnie nie wolno nikogo nocować. Krejskomendant zabronił, żandarm zabronił, wójt ogłaszał...

— W sieni legnę, bez pościeli...

— Nie.

Krasuski nie prosił więcej. Złożył na ławie tobolek, siadł ciężko obok, oparł mokre plecy o ścianę i patrzył w kamienną twarz żyda. A ten głowy z nad książki nie podnosił, czytał, pomrukując z cicha i chwając szpakowatą, długą brodą.

Długo siedzieli tak, wreszcie żyd skończył czytanie, wstał, przeciągnął kości, zaglądnął do alkierza, pokręcił się po izbie, pousuwał sprzęty pod ścianę i stanął wreszcie przed Krasuskim:

— Wy skąd?

— Zdaleka.

— Z tamtej strony?

Krasuski zawahał się chwilę, myśląc, czy go żyd nie wyda, skinął jednak głową i szepnął:

— Tak.

— Aha. To wy z tych, co ich każą łapać?

— ...

— Biliście się...?

— A was to co obchodzi?

— Mnie? Nic, tak się pytam. Chcecie wódki?

— Nie mam pieniędzy.

— Możecie zarobić.

— Nie mam ręki...

— Ciemno. Nie widziałem. Ale spróbujcie, weźcie kij miotły pod pachę, może dacie rady.

— Spróbuję.

Wziął z pod pieca miotłę, jak mu żyd radził, pod pachę i idąc od szynkwasu ku drzwiom, zamiatął. Zamiatął półłukiem, niezgrabnie, jak nieprawny kosiarz.

Żyd siadł na stole pod oknem.

— Wy szlachcie?

— Tak.

— I wy u żyda karczmę zamiatacie za kieliszek wódki!

— Tak.

— I nie wstyd wam?

— Nie.

— To wy dziwny człowiek.

— Może.

— Naprawdę dziwny. Ja jeszcze takiego szlachcica nie znał. Ja znał tylko takie panowie, co mnie za brodę targali, w gębę pluli i mówili: żyd — parch! No, no! a teraz szlachcie u mnie zamiatą!

Krasuski zamiatął dalej, milcząc i tylko zawiasy szcęk zaciskały mu się coraz mocniej. Oczy powie-

kami przystonił, żeby żyd nie widział, że rozbłysły.
Purpura krwi zalała mu czoło.

A żyd siedział na stole, nogami huśtał i ciągnął dalej:

— Szło tedy już kilku takich jak wy, czterech, czy pięciu, to każdy zaczynał zmiatać; ale jakem się spytał, czy szlachcic, to każdy rzucał miotłę, kłął brzydko i uciekał. Jeden tylko nie zmiatał, bo był ślepy... Ale żaden już za brodę nie targał, żaden mi w gębę nie pluł, a każdy chciał zarobić kieliszek...

Krasuski przystanął, wyprostował się, ciężką wierzbową drapakę mocniej w dłoń ujął i ku żydowi się zwrócił. Dyszał ciężko i ściemniałe, złe oczy wpił w żydowskie błyszczące źrenice.

Żyd skamieniał na stole. Krasuski podchodził coraz bliżej. Na dwa kroki przed stołem przystanął: Zdawało się, że zdzieli tamtego wściekłym razem przez łeb, na śmierć! Przegiął się w tył, jak do zamachu. Lecz nie. Cofnął się, pochylił grzbiet i znów zaczął zmiatać.

Gdy skończył, odetchnął głęboko, drapakę spokojnie w kącie postawił, tobolek przez ramię przerzucił i wychodząc, rzekł chrypliwie:

— To... to zmiatanie, było za tych, którzy tu byli przedemną... i za tych, którzy ci w ślepią pluli.

Jerzy Kossowski

DWA MIASTA

Młodzieży Lwowskiej

...*W Mieście Umarłym* — w zmierzchu i rano,
Przywarowani w rząd, u bram,
Wartę pełnimy nieprzerwaną
Za Miasto Żywe dane... wam...

Ten szereg mogił, co w mgłach drzemie,
Wtulony w drobne palce traw,
To nasze — lwowskie — Akademje —
To szereg naszych szkolnych ław.

Mogiła 1-a Masz polską mundur dziś, kadecie?
W polskiej ci mowie rozkaz padł?
Jam za Twój mundur — na bagnecie
Piers jako krwawy rozdarł szmat...

Mogiła 2-a Czytasz, kolego, w starych kartach?
Ważysz w swej myśli mądrość ksiąg?
Ta księga — jeszcze nieotwarta.
Z moich — zmiażdżonych — padła ręk...

Mogiła 3-a Patrzysz w zachwyce — na kolanach
W swój Twór, wstający w słowa skrach?
Jam za tę chwilę — konał w ranach,
A oczy moje przymknął — piach...

Grzmiały pieśni wasze — huczy mowa —
Tryska studencki, głośny śmiech
Za nasze — w gardła white słowa
Za naszą — z tętnic taną krew!

Z gród mogił naszych — wasze domy!
W naszych wam czaszkach wawrzyn śni!
A własne znaczy wam dyplomy
Rektorat nasz — sygnetem krwi!

...*W Mieście Umarłym* — w skwar i w chłody
Patrzący Bogu twarzą w twarz,
Za Żywe Miasto Polski młodej
Pełnimy wieczną, twardą straż...

JADWIGA GAMSKA

Dziesięciu pacholików oblega Lwów.

(Obrazek z 1613).

U pana Mościckiego, mistrza słynnego lwowskiego cechu krawieckiego, przymierzają i przymierzają nowe szaty dwaj panowie z pod chorągwi husarskiej, pan Grabianka i pan Maszkiewicz. Płacić obiecują złotem, zamawiają wiele. Konfederacji z pod łaski marszałkowskiej imię pana Józefa Cieklińskiego. Szli z Moskwy dalekiej, szli przez Wołyń, nieśli blizny swędzące, straszne wspomnienia przeżytych chwil w zamknięciu kremliańskim i wawrzyny bojowe, aż Rzeczpospolita rzekła im:

— Zwertowawszy kroniki, historyje, ledwie się gdzie przykład znaleźć może, żeby które wojsko męskimi umysły i tak wiele wielkich niebezpieczeństw zwyciężeniem i tak haniebnym a mało słyszanych niewczasów i niedostatków wytrwaniem — sławą porównać mogło. Sobie samym i narodowi swemu tem większą sławę do potomnego wieku podaliście, waszmoście!

Tak mówili i pan majster do dowódcy roty w chorągwi księcia Poryckiego, do pana Samuela Maszkiewicza, tak, a jeszcze cieplej szeptały czyjeś inne, gorące usta z komnat pana majstrowych, tylko w kuchni nie było tak gorąco, jakby tego pani majstrowa Mościcka pragnęła.

Ugościć chciano panów kawalerów, przyjąć ich szeroko, ochoczo, po lwowsku — a tu nie było czem. Ledwo, ledwo jakąś rybkę przeciągnięto na powrozie przez mur koło rondla, ukradkiem, ale opału pod piec nie było. Nikt nie przywiózł dREW na targ do Lwowa, obie bramy miejskie zamknięto na trzy spusty, dwieście służącej piechoty pilnuje, żeby nieproszeni goście nie wtargnęli... Jest koło Jezuitów wąska furtka, ale tę obsadził nieprzyjaciół: dziesięciu pacholików, właśnie z roty pana Maszkiewicza.

Wielki post roku 1613, wprost głód, miasto obleżone, na blankach i basztach czuwa straż, miejska straż obywatelska, pilnują Lwowa płatnerze i igielnicy, szewcy i kuśnierze, całe królewskie, uprzywilejowane towarzystwo strzeleckie, całe znakomite bractwo kurkowe.

Pani Mościcka kazała już porąbać niecki i inne statki drewniane, żeby było czem zapalić pod piecem, żeby można było uraczyć gości. I to jakich? Kotowano się u państwa Mościckich na przyjęcie Maszkiewicza, który upatrzył sobie Lwów, nawet wbrew rozkazowi konfederacji, wybrał się do rajców miejskich tylko na podstawie cichej, poufnej zmowy z kwatermistrzem chorągwi, panem Pawłowskim i czekał teraz stosownej chwili...

Ale wszędzie w Polsce, a we Lwowie nade wszystko pierwszym przykazaniem jest: „Gość w dom — Bóg w dom“.

Zwłaszcza jeśli i nadzieja zarobku i afekty panięńskie społem zachwalały pana Samuela, który nietylko pułkownikował między swawolnikami,

nietylko był starszym w radzie, ale i woził z sobą urok gładszy, słynnego z amorów z samą księżną Wiśniowiecką!

Pan Grabianka, włóczący się stale za dowódcą, coś niby adjutant, oblicza, ile skonfederowani dostaną czerwonych złotych:

— Dla znędznienia naszego przez zatrzymanie żołdów naszych przyszło nam z Moskwy wynieść a przez konfederacją dochodzić zasług swych. Zasług wszystkich sume komputowawszy uczyni dwa miliony ośmkroć sto tysięcy trzydzieści tysięcy i sześć ośmset pięćdziesiąt i trzy a groszy dwadzieścia!

Co za suma! Miljony złotych budziły łase nadzieje — ten i ów — nietylko pan Mościcki — cieszył się z przybycia chorągwi jezdnych, które miały obejść się ze Lwowem gorzej, niż minionego roku Tatary. Roku 1612 Machmet-Gierej-Soltan i Galga, chański sym, grozili zdaleka, że koszt tatarski pod Lwowem rozłożą, ale w rzeczywistości nawet na Kuczmański Szlak nie wkroczyli.

Już dość, nie złota, ale złotych gór, naobiecypali się panowie husarze, czas teraz było przejść z lady krawieckiej do dalszych komnat — na poczęstunek.

Piwnice patrycjatu lwowskiego były tak troskliwie zaopatrzone w wina najprzedniejsze, że żadna blokada nie mogła wysuszyć drogiego, złotego, greckiego płynu. Jedzenia we Lwowie już brakowało — ale napitku było dowoli. Częstowano się szczerze.

Rozrzewnienie ogarnęło rycerzy od tej muszkatolowej, kreteńskiej gorącości i pan Maszkiewicz powtarzał za panem Cieklińskim żale żołnierskie:

— Niewdzięczność, która ludzie dobrze ojczyźnie zasłużone spotykać zwykła, nie dziw, że i nas — na samym już wejściu do granic ojczystych — przywitać musiała... Pełno nowych każdego czasu przykładów, gdzie merita niechęcią, gdzie cnota nienawiścią się płaciła. Jednak na naszej Rzeczypospolitej nigdyśmy się tego nie spodziewali! Inaczejchmy, jako baczę, należeli...

Przez gościnność nie spytał się pan Mościcki, czy panowie „rycerstwo stołeczne“ spodziewali się, że dla nich „Senat i naród lwowski“ złamie prawo. Nie spytał się, czy pan Grabianka wiedząc, iż stacjonować wolno wojska tylko w dobrach królewskich i w dobrach duchownych, oczekiwał innej odpowiedzi od burmistrza Lwowa, niż tej, którą otrzymał:

— Prawa mamy wielkie od królów dawnych. Stacyj nikomuśmy nie powinni i samemu królowi jegomości. Kto jest rajcą lwowskim, szlachcicem polskim jest i tem się szczyty i od stacyj uwolniony jest!

Czyby przypomnienie swobód lwowskich co pomogło? I tak dziwili się rycerze, że lyki lwow-

skie od święta kontusze przywdziewają, do czapek sobolowych drogie pióra przyczepiają — istne strojenie się w cudze piórka!

Dobrze, że nie pytał się tak mistrz Mościcki. Pan Samuel Maszkiewicz zanotował sobie w diariuszu odpowiedź, daną rajcom lwowskim:

„Ale u nas prawo na ten czas w palcu!”

Zważywszy, że na piśmie człowiek zazwyczaj dworniej się wyraża, można domyśleć się, jak żołnierskiego responsu doczekałby się mieszczanin!

Przypijano coraz serdeczniej. Zuchwałość rycerska rosła:

— Nie możecie się nam sprzeciwić. Wasz lew w zajęcie poszyty futro: rozkazałem pacholikom moim, aby nikogo z żywnością, z drwami do miasta nie puszczali. Złakszy się zawarliście bramy, a wasz burmistrz z osobna wszystkim mieszczanom w pogotowiu być rozkazał.

I dalej szydzili panowie konfederacji:

— Lwów — porządne jest miasto! Tak się was wymorzyło przez trzy dni! A cóżby nieprzyjacieli nie miał wymorzyć głodem bardzo prędko?

Przedkładał pan Mościcki, że Lwowianie, prawa broniąc, na braci, na żołnierzy Rzeczypospolitej ręki nie podniosą, chowając swe męstwo i wyćwiczenie na innych, na postronnych wrogów — próżno! Ktoby tam słuchał takiego, co się łokciem a wagą porze!

Pijatyka dobiegała końca, czas już było wracać do kwatery.

Gospodarz wysłał chłopca z warstatu do drabantów, strzegących furtki, przypominając, że sam pan burmistrz obiecał bramę odemknąć panom husarzom.

Wyszli.

Przodem pan Maszkiewicz z Grabianką, ze świecą, za nimi dwaj pacholikowie z ich rot, w końcu, niby straż tylna, czeladnik.

Blask pochodni rozświetlił wąskie ulice Lwowa, w nocy zawsze w mrok nieprzebite zatopione. Pogasyły potrójne okna mieszkań, zwykła cisza i pustka otulała miasto. Ale już z za pierwszego węgla wyjrzała czająca się postać... Na skrócie w drugą uliczkę stali jacyś ludzie, dalej pod wykuszami kryła się cała gromada a błysk świecy odbił się w ostrzu berdysza... Szli oficjerowie pospiesznie ku furtce; na ulicach było coraz pełniej. Nagle rozległ się krzyk; to ktoś zwymyślał czeladnika, że strąca takiego zawłokom, sabatom, skoczył do niego — i razy geste posypały się na plecy chłopaka.

Poskoczyli żołnierze na ratunek i w tej chwili jeden z pacholków padł z czaszką, rozstrzaskaną ciosem halabardy. Wnet runął na ziemię pan Grabianka: cep żelazny zgruchotał mu nogę. Dokoła osaczonych wyrósł las osęk, dzid, zwykłych palek i las gęsty słów ciężkich, grubych, lwowskich. Napadnięci odcinali się jak mogli, lecz i Herkules nie strzymałby takiej szewskiej, mieszczańskej pasji. W krwi tarzał się drugi pacholik i Bogu ducha winien czeladnik; panu Grabiance cepak dodał jeszcze jedno uderzenie, śmiertelne. Jedyiny pan Samuel Maszkiewicz przebił się przez oblawę.

Jak trafił pociemku? Może tak dostał w łeb, że aż mu się iskry posypały i drogę wskazały? Nie nadarmo rozjuszony tyki wołały po lwowsku: — A świeć go!

Szczerze wyznał, że nie miał takiego strachu nigdy w Moskwie w czasie zdradliwego powstania, jak w krętych uliczkach Lwowa. Ale wreszcie stanął u progu pana majstra Mościckiego. Tu był kres jego przerażenia. Mościcki go zastąpił świętem prawem gościnności, a pan Samuel odetchnawszy, obmacawszy się, z ulgą szepnął, zdaje się: „tylko trochę krwi się lało”, bo istotnie, za niewielkie poturbowania zadowolił się potem, nawiązką od sławetnych panów rajców lwowskich, w sumie zaledwie stu złotych.

Zapłacił ratusz lwowski za odruch zniecierpliwionej ludności. I płacił potem jeszcze dziesiątkami tysięcy złotych, gdy ostatecznie, w rok później sam pan hetman Żółkiewski z panem kasztelanem lwowskim, Mikołajem Daniłowiczem wypłacali konfederatom zaległy żołd, a kasa państwowa dalej była pusta. Płacił niewyliczone sumy w szkodach zamiejskich. Gmina miasta Lwowa majątności miała rozległe, lasy szerokie, konfederat więc pisze:

„A co się też folwarków im (Lwowiakom) nadskrabiło!”

Przyszły potem gorsze czasy, a wtedy okazało się, że Lwów, który cierpiał potulnie roszczenia własnego żołnierstwa, który nie podniósł ręki na dziesięciu ciurów, blokujących miasto, który przepraszał pobitych przez ślepy tłum, — potrafi strzymać napór wroga, sprzymierzonego z wielkimi siłami militarnymi, potrafi złamać falę najazdu raz, drugi, trzeci. Nie zawiodły ni bramy ni zaopatrzenie, nie brakło ni kierowniczych umysłów, ni hartu wewnętrznego.

Rozbestwione żołdactwo, które hulało pod Lwowem i po Lwowie, było posiewem polityki wojennej, prowadzonej bez idei państwowej. Nieugiętość Lwowa była posiewem rozumnego i serdecznego popatrzenia na sprawy Rzeczypospolitej. Co innego królewicza, co innego sobiepany, co innego interesy dynastyczne, co innego ambicji — a co innego salus Rei publicae.

Bogactwa i zasoby Lwowa nie zrodziły sobkostwa, sybarytyzmu — przeciwnie, stały się gospodarczą podstawą do należytej postawy wobec wroga.

Temperament lwowski, który sprawił rozruch chwalonym panom rycerzom żelazną młóckę, rozognił się i rozbijał na dobre, gdy nieprzyjaciela Rzeczypospolitej ujrzał. I przetrwał ten temperament lat trzysta, aby w naszych oczach stworzyć „cud Lwowa”.

Powściągliwość Lwowa wobec awantur wewnętrznych, jego gościnność szeroka — to tylko objaw nieubłaganej niepowściągliwości i zaciętości na wypadek, gdyby naprawdę cudzy chciał deptać lwowskie progi.

Seweryn Przybylski

J. Chomiński dyrektor policji lwowskiej.

Ilekróć w nocy majowej szaleje burza a wicher gałęzmi drzew tłucze o szyby okien i miecie strąconymi listkami, jak chmurą płatków śnieżnych, staje mi żywo przed oczyma jedna z nocy dawnych... przed pół wiekiem z górą.

Ośm lat liczyłem, ale to, co w czasie owym, niedalekim jeszcze od krwawego roku 1863 i 1864, weszło w dziecięcą a wrażliwą pamięć, tkwi w niej przechowane, jak owad w bursztynie, może jednak w pewnych chwilach ożyć i przedstawić się jakby w rzeczywistości wczorajszej.

W maju 1867 r. wiedzieli dobrze wszyscy sąsiedzi domu przy ulicy Niższej Ormiańskiej (dzisiaj Skarbowskiej nr. 15), że właściciel jego Joachim Chomiński, osławiony dyrektor policji lwowskiej, jest bliski śmierci, ale pomimo strasznych cierpień skończyć nie może. Chorował on od dłuższego czasu, — pogorszenie nastąpiło przed ruską Wielkanocą tego roku takie, że mowy już nie było o ratunku. W piątek Wielkiego Tygodnia greko-katolicy — jak wiadomo — udają się wieczorem do cerkwi wybijać pokłony; stało się to wówczas także w domu Chomińskiego, — żona jego i służba poszli na tę uroczystość do cerkwi Wołoskiej, zostawiając samego chorego bez opieki. Skutkiem nie należycie ugaszonego ognia w piecu piekarskim (przygotowywano się na przyjęcia wielkanocne) wybuchł pożar, który w krótkim czasie ogarnął całą kuchnię i bliskie ubikacje koło pokoju, w którym leżał chory. Ten przypadek bardzo silnie oddział na cierpiącego i w niedługim czasie stał się powodem jego zgonu. Nie było więc już w roku owym takiego, jak zwykle, święconego, — nie widzieliśmy ani greko-katolickiego arcybiskupa, ani kanoników od Św. Jura, ani żadnych dygnitarzy ruskiego urzędowego świata, wchodzących do domu Chomińskich. Za to przez ogród i podwórze, ograniczone od domu moich rodziców tylko parkanem, dochodziły nas coraz to gorsze wieści o wzmagającej się chorobie pana dyrektora i o strasznych, towarzyszących jej okolicznościach, które potwierdzały rozlegające się z otwartych okien jęki, ryki i lamenty potępieńcze, nie zapomniane ani do dnia dzisiejszego... Wtenczas dzieci chowaliśmy się do altany, gęsto winem dzikiem obrosłej, lub, usiadłszy na ławce pod kasztanem, nadśluchiwalismy z przerażeniem głosów okropnych: „Patrzcie, krew, krew, dochodzi już do łóżka... Na ścianach poprzybijane ręce i nogi... rzną, rzną, ratunku...!“. Wtedy tłumaczono nam, że Chomiński skończyć nie może, bo skończyć mu nie dają okrutnie pomordowani, żywcem popaleni i piłami porżnięci panowie podczas rzezi, w której on był hersztem....

Skon wreszcie nastąpił, — ale nim przyszła jego chwila, dziwne rzeczy wyrabiała się na świecie. W niedzielę w nocy, jeśli mnie pamięć nie myli, przed śmiercią jedna z najstraszniejszych burz, jakiej byłem świadkiem, rozszalała nad Lwowem, połamała drzewa, powaliła kominy, poprzewracała parkany i zaścieliła ziemię białem i różowym strąconym kwieciami. Co rana wówczas o godzinie $\frac{1}{2}$ 7 chodziło się do kościoła na mszę przed nauką szkolną i przy tej sposobności widziałem kupę ludzi, stojących przed domem Cho-

mińskiego, którzy żywo rozmawiali i spoglądali w okna pierwszego piętra, by się przekonać, czy mieszkaniec jego już nie umarł. Przywiodła ich tam ciekawość i gadka, która lotem błyskawicy, chyba wraz ze świtem, rozeszła się i głosiła, że strażnik na wieży ratuszowej widział, jak z wybiciem godziny dwunastej w nocy chmura czarnych ptaków spuściła się na dom Chomińskiego, — wyniosła z niego coś wielkiego, białego, jakby prześcieradło, usiadła z tem na ogromnym orzechu włoskim ogrodu i, wyprawivszy tam harce szatańskie, znikła. Przez długie lata potem utrzymywała się ta wieść wśród gminu miejskiego, i miała przedewszystkiem ten skutek, że uratowała orzech przed ograbianiem przez bandy uliczników, od tego czasu bowiem, chociaż rodził obficie, jak dawniej, nikt nie odważył się pójść na nocną wyprawę po orzechy.

Chomiński umarł o godz. 5 rano 9 maja 1867 r. Jak zwyczajnie po obu stronach bramy nalepiono wielkie klepsydry, sławiące zasługi urzędowe i społeczne nieboszczyka dla swego narodu i państwa austriackiego, lecz przez dwa dni zdzierano te karty i nalepiano polskie z wymienieniem tytułu: „herszt rzezi“, — ustąpiło to dopiero wtedy, kiedy na straży postawiono t. z. rewizora.

Pogrzeb odbył się w sobotę 11 maja przed południem, do Wołoskiej cerkwi, potem na cmentarz łyżczakowski, z wielką pompą, przy udziale świata urzędniczego policyjnego, metropolity Litwinowicza, kanoników od Św. Jura i liczego duchowieństwa grecko-katolickiego, które tem się zapisało w pamięci Lwowian, że wzięło udział w obrzędzie pogrzebowym po raz pierwszy przybrane nie w czarne żałobne, jak dotąd było to w zwyczaju, lecz w czerwone ornaty.

„Gazeta Narodowa“ w nrze 110 z 1867 r. kreśląc obraz ostatniej ziemskiej wędrówki człowieka, obciążonego okrutnym zarzutem ze strony społeczeństwa polskiego, pisała: „Pogrzeb b. dyrektora policji J. Chomińskiego odbył się wczoraj. Kilkadziesiąt księży unickich w czerwonych ornatach poprzedzało trumnę, za którą oprócz wdowy i instytutu stauropigiańskiego widzieć można było policję i karety J.E. ks. metropolity wraz z siedzącym w niej tym dygnitarzem. Urzędnicy c. k. dykcji policji odprowadzili zwłoki byłego swego szefa tylko do Wołoskiej cerkwi, w pochodzie zaś stąd na cmentarz łyżczakowski przedstawiał publiczność sam ks. metropolita, oddający ostatnią posługę byłemu komisarzowi obwodowemu w Tarnowie w r. 1846. Sprzeczność między pompą obrzędów religijnych a tak szczupłym orszakiem pogrzebowym przedstawiała widok szczególny w swoim rodzaju i dziwacznie urozmaicony z krwawą żałobą na szatach księży wschodniego obrządku. Wyznajemy, że tą razą czerwony kolor wydał się nam więcej straszny i ponury, niż czarny“.

Jak wielką była wina Chomińskiego na stanowisku „komisarza I klasy“ w starostwie tarnowskim w pamiętnym roku 1846, rozstrzygać obecnie nie będę, nie mając pod ręką dokumentów potrzebnych, ruskie „Słowo“ lwowskie z r. 1867, nr. 33, bardzo eufemis-

tycznie wyrażając się o tem jego urzędowaniu podczas rzezi, powiada, że „imię nieboszczyka stało się nierozłącznem od ówczesnych zdarzeń zapisanych na kartach historii“. Że nie miał wobec Polaków czystych rąk ani w tym krwawym roku, ani później, kiedy stał jako radca Namiestnictwa na czele lwowskiej po-

licji, to niewątpliwe, jak i to, że nie umierał, jak twierdził kto inny, ze spokojem, zdając sobie rachunek z całego żywota, urobionego z nienawiści narodowej, służbistości urzędniczej i wierności austriackiej.

Wilhelm Bruchnalski

O kulturę pamiętnika w Polsce.

Wielki moment dziejowy, który w tej chwili przeżywamy: 10-lecie Zmartwychwstania Polski i tak ściśle związanej z niem Obrony Lwowa, — nasuwa mimowoli wiązkę refleksyj na temat kultury pamiętnika u nas.

Jesteśmy dzisiaj wszyscy pod urokiem wspomnień i rozpamiętywań, to górnych i radosnych, to znowu żałobnych i pełnych łez, gdy przed oczyma przesuwają się nowe blade cienie młodych bohaterów wolności. Wszyscy wspominamy i radzibyśmy utrwalić na wieki te najpiękniejsze karty naszych ostatnich przeżyć.

Na historję Wielkiej Wojny i naszego Wyzwolenia jeszcze zawcześnie. Pojawiają się już wprawdzie od lat kilku pierwsze plony pracy badawczej nad tym przełomowym okresem naszych dziejów; dostają się do naszych rąk: publikacje materiałów wojskowych czy politycznych, ciekawe i ważne opracowania częściowe, różne traktaty strategiczne, naświetlenia wypadków, opisy i przyczynki; ale jest to dopiero torowanie pierwszych dróg, są to dopiero cegły do tej budowy, do której wezmą się przyszłe pokolenia. Praca nad historją Polski wyzwajającej się i wyzwolanej czyni się zwolna i stale, lecz dokonają jej ci, co przyjdą po nas. Oni mieć będą potrzebną perspektywę, spokój, możność badawczego wnikania i bezpartjalnego sądzenia.

Nasz obowiązek jest inny. My jedni mieliśmy szczęście patrzeć na wstającą Polskę, my wydźwignialiśmy ją własnymi rękoma z grobu, my jesteśmy tymi, którzy „jedną tylko taką wiosnę mieli w życiu“. Na nas ciąży przede wszystkim powinność przekazania następcom rzeczy i spraw, zaszłych za naszej pamięci.

A idzie tutaj nie tylko o samą Wielką Wojnę i chwalebne odrodzenie Państwa Polskiego. My i ojcowie nasi jesteśmy ludźmi przełomu. Stanęliśmy na granicy czasów dawnych i nowych. Mamy jeszcze w oczach i pamięci cały, wielki szmat zaborczego bytowania, ostatnich kilkadziesiąt czy kilkanaście lat przed wojną: zmagani się nocy ze świtem. Są wśród nas jakgdyby dwa szeregi: starzy i starzejący się. Pierwsi pamiętają rzeczy od pół wieku, czy trochę mniej, drudzy od lat dwudziestu czy nieco więcej. To tak, jak w mickiewiczowskim „Panu Tadeuszu“: stare pokolenie z soplicowskiego dworu i ci młodzi, co z wojną przyszli do Soplicowa i przynieśli złote orły Napoleońskie. Nie wróci zło, które minęło, nie wróci też drugi raz ów rok, „zdana niebieskim oznajmiony cudem“. Jedno i drugie trzeba utrwalić i przekazać, jak poeta utrwalał ostatnich Podkomorznych, Sędziów i Wojskich, ich troski i zabawy, tragedje i marzenia, i jak zaklinał w cud natchnionych rapso-

dów wiosnę 1811 roku. Nikt tego później za nas nie zrobi i nie odrobi, nikt nie potrafi się z tego wywiązać tak jak właśnie my. I tu natrafiamy na kwestję spisywania wspomnień i pamiętników.

Kultura pamiętnika była dawniej w Polsce bardzo żywa i bujna. Na Zachodzie, np. we Francji, święcił pamiętnik niemałe triumfy już w XV w., ale u nas począł się naprawdę i rozplecił dopiero w wieku XVII-tym, w epoce burz wojennych, wstrząśnień narodowych, religijnych, społecznych.

W XVI-tym stuleciu należał prawie do rzadkości. Spisywały go chyba jakieś osobistości wyjątkowe: Orzechowski czy Górnicki, ks. biskup Radziwiłł czy ks. arcybiskup Solikowski, albo ktoś tam jeszcze bardzo wykształcony, bywały, broniący własnej sprawy. Bo że Imci Pan Maciej Rywocki, chudy pedagog magnackich dzieci zapisywał w czasie podróży wszystkie cudowne obrazy, widziane we Włoszech, a Książę Radziwiłł Sierotka lub jakiś Pan Jan Goryński kreślił nabożnie szczegóły dalekiej pielgrzymki do Ziemi Świętej, — to nie były to jeszcze pamiętniki w późniejszym znaczeniu tego literackiego rodzaju. Wiek XVI-ty przynosił raczej historję współczesną, dzienniki podróży, księgi peregrynackie.

Zato wiek XVII-ty aż zaroził się i zahuczał od pamiętników. Rodził się ten pamiętnik w pasach zawieruchy dziejowej, kiedy było na co patrzeć i co opisywać. Po ciężkich trudach wojennych, w latach sędziwego odpoczynku po mocnem, krzepkiem życiu, zgrabiała ręka chwytiała za pióro, a z głowy snuły się wspomnienia, jakież piękne, jakież dalekie...

Pisali pamiętniki wszyscy: rebażyli i zapalone głowy, jak pan Pasek Chryzostom i pan Maskiewicz Samuel, dygnitarze, jak Ossolińscy, Sobiescy i Lubomirscy, dyplomaci, jak ks. Reszka i Oświęcim, i dziesiątki różnych szlachciców, sędziów kowieńskich czy stolników oszmiańskich; kreślił je zakonnik (jak ks. Kordecki), nie wzdrygał się przed tą zaciętą a miłą pracą mieszczanin i kupiec: Zimorowicz, Juljusz, Markowicz. Ciekawe jest, że niektóre rodziny, np. Radziwiłłowie, szczególnie kochali się w pamiętnikarskim zawodzie; coś podobnego widać także u Ossolińskich lub u protestantów Otfinowskich.

Jak w XVII wieku, w tym wojennem i krzyżowem stuleciu Polski, pamiętnik wyrastał z burzy wojennej, tak znowu w następnym wieku, XVIII-tym, wynikał z dwojakiego źródła: z obyczajowości, z tego szeroko zakrojonego i szumiącego życia szlacheckiego, po pałacach i dworach, sejmikach i gospodach, a potem, w Stanisławowskiej epoce, z przełomu politycznego, z wypadków doniosłych i ciężkich dla Ojczyzny. Ponadto geneza jego tkwiła często — jak zawsze bywało — w podróżach, nadzwyczajnych przy-

godach, awanturmiczem życiu. Szczególny urok miały również wspomnienia szkolne.

Nie sposób wymieniać wszystkich naszych pamiętnikarzy z tego stulecia. Pamiętnik stał się wtedy modą i potrzebą. Pisał go Krasicki i Węgierski, Karpiński i Bogusławski, Wybicki i Dmochowski, Staszic i Kołłątaj, i sam król Stanisław August. Z tego okresu pochodzą pamiętniki tak wartościowe, jak: Matuszewicza, Ochockiego, Adama Czartoryskiego, Kilińskiego, to znowu sławne pamiętniki Kitowicza, Beniowskiego i inne.

Pamiętnik przeszedł też, razem z Polską, w czasy pierwszych walk o wolność i w szarą dziedzinę niewoli. Można wyróżnić teraz całe ich grupy odrębne i charakterystyczne; wspomnienia legionowe np. (Cyprian Godebski), syberyjskie (Kopeć, Rufin Piotrowski i inni), z przełomu dwóch stuleci (Czartoryski, Ogiński), podróżnicze (Aleks. Sapieha, ks. Bohusz), obejmujące prawie wiek cały (Kaj. Koźmian, Węzyk), wileńskie (Malinowski, Morawski), krzemienieckie (bardzo liczne i piękne: Kowalski, Kaczkowski, Andrzejowski, Witte i t. d.), emigracyjne (Jełowicki, Wrotnowski, Orpiszewski, Nabelak, Nakwaski) i wojenne (Różycki i inni). Biorą się także do pamiętnikarstwa na większą skalę kołbiety, prawie milczące jeszcze w XVII wieku.

Całe dzieje Polski porozbiorowej stoją w tych pamiętnikach, jak żywe, pisane szablą, łzami i krwią serdeczną, rojne od szczegółów, ludzi, rysów obyczajowych i anegdoty. Niektóre są prawdziwymi zapomnianymi do dzisiaj, arcydziełami.

W XIX wieku, mniej więcej po rok 1870 wszystko się rwie do pisania wspomnień. Tytanem pamiętnikarstwa jest Niemcewicz. Dodajemy jeszcze takie nazwiska jak: Fr. Sal. Dmochowski, Fredro, Tańska, Fryderyk Skarbek, Brodziński, Goszczyński, Domeyko, Gaszyński, Pol, Klaczko, Dezydery Chłapowski, Syromla. I Zaleski myślał o Pamiętnikach, a wybitne skłonności w tym kierunku okazywali także Słowacki i Krasiński.

Z rokiem 1870, czy wkrótce potem, urywa się jednak pamiętnikarstwo polskie. Pielęgnują je niektóre rodziny literackie: Koźmianowie, Felińscy, Nakwaski. Wyłoni się gdzieś na światło dzienne pamiętnik dawniejszy: Ambr. Grabowskiego, Dembowskiego, Prądzyńskiego, bpa Krasińskiego. Piszę je Kraszewski, Michał Baliński, Julian Bartosiewicz, Jeż-Miłkowski, nawet Leonard Sowiński, Bałucki i Orzeszkowa. Ale to nie jest już to samo co dawniej.

Ludzie spisują swoje wspomnienia dalej, w zaciszu domowym, skrycie, dla siebie lub z myślą o pośmiertnej publikacji, lecz po roku 1880 - tym, a napewno już w latach 90-tych XIX wieku, zanika zwolna w Polsce kult dla pamiętnika, ocenianie jego wartości, zanika przede wszystkim czytelnictwo pamiętników i poczucie obowiązku ich spisywania.

Przy końcu XIX wieku i w czasach naszych występuje ten objaw jak najwyraźniej. Czy to życie rwie tak naprzód wśród ogromnych zmian w kulturze materialnej i duchowej, czy „wiek nerwów i elektryczności“ oducza ludzi spokojnego, radosnego delectowania się lekturą pamiętnika? — zapewne jedno i drugie. Dziadowie i ojcowie nasi umieli czytać pamiętnik i czer-

pać z niego słodycz cudzych przeżyć, mądrość doświadczeń, sentyment dla przeszłości. My już nie umieliśmy, dzieci nasze nudzą się tem najoczywiściej. Jaki taki manjak (Stanisław Wasylewski czy Bogdan Janusz) będzie gromadził całą bibliotekę pamiętników, ale ogółu czytającego nie obchodzą one prawie wcale. Gdyby jeszcze jaki pamiętnik skandaliczny, jakaś swywolna kronika o żywotach pań wesółych z dawnej arystokracji... Wolimy czytać wspomnienia damy dworu habsburskiego lub przyjaciółki Rasputina.

Ale byli i żyją wśród nas ludzie, którzy pamiętniki pisali i piszą. Leżą sobie one w szufladach biurów i w zakamarkach domowego archiwum. Są w nich rzetelne świadectwa przeszłości niedalekiej, pierwszorzędne dokumenty wypadków i kultury. A inni mogliby takie pamiętniki zostawić po sobie, lecz jakoś nie zabrali się dotąd do nich, zrażeni może obojętnością społeczeństwa dla pamiętnikarstwa...

Dzisiaj nadeszła chwila, aby tę piekącą sprawę poruszyć w sposób zdecydowany. Wiemy o istnieniu całego szeregu pierwszorzędnych pamiętników pióra ludzi sędziwych, mądrych, biorących niegdyś znamienity udział w życiu politycznym, oświatowym i kulturalnym całej Polski, czy też byłej Galicji. Pamiętniki ich, to bezcenne nieraz źródło dla przyszłego historyka. Prace te powinny dostać się w przechowanie instytucji publicznych, jeśli zaraz nie mogą ukazać się w druku. A dalej: Do spisania swoich wspomnień przedwojennych i wojennych powinni się zabrać wszyscy ci, starzy, starzejący się i młodzi, uczestnicy walk o wyzwolenie Polski, którzy mają istotnie coś do powiedzenia. W powrocie do wspomnień, w utrwaleniu ich, znajdują nieraz rozkosz niepośledniej wartości.

W społeczeństwie zaś naszym trzeba obudzić na nowo starą, tradycyjnie polską kulturę pamiętnika. W pamiętniku odszuka czytelnik dzisiejszy utracony spokój i ukojenie nerwów, zanurzy się w jego kartach, jak w chłodnej, rzeźwiącej kąpieli. Firmy wydawnicze, obliczające wszystko na łatwy zysk, nie powinny lenić się dłużej z publikowaniem pamiętników wartościowych i ciekawych. Także czasopisma mogą w tym wypadku spełniać pożyteczną rolę.

W ostatnich miesiącach pojawiło się we Lwowie kilka wspomnień z czasów dawniejszych i niedawnych. Czytano je z wielkim zainteresowaniem! To samo zauważyć można i gdzieindziej. Może więc zbliżamy się do chwili, gdy pamiętnik rozpocznie u nas swój upragniony z dawna renesans!...

Piszmy pamiętniki i notujmy nasze wspomnienia! Wystawmy w nich „żywy pomnik“ wielkim dniom, które dano nam mocno przeżyć w smutku i radości. Bo czyż nie wstyd, gdy o „Obronie Lwowa“ wnukowie nasi dowiadywać się będą tylko z raportów wojskowych i z gazet? A któż im pozwoli przeżyć ten niezapomniany nastrój uniesienia i heroicznego entuzjazmu, z jakim my, w listopadzie 1918 roku witaliśmy na szanicach miasta polską Korę, wyprowadzającą naród z podziemi?...

Stanisław Lempicki.

Lwów kolebką romantyzmu polskiego.

Liczne tytuły dawne do chwały, które kojarzą się z myślą o Lwowie w chwili rozpamiętywania najświeższej bohaterskiej karty jego dziejów — wzbogacić warto jednym jeszcze tytułem dotąd nieznanym: Lwów jest kolebką pierwszych zawiązków romantyzmu w Polsce.

Daleko cofnąć trzeba się wstecz od epokowego roku 1822, by wskazać fakt, który istotnie rozpoczyna u nas historję romantyki. Datą jego rok 1795, miejscem scena lwowska, sprawcą Wojciech Bogusławski.

Ten ojciec prawdziwy teatru polskiego dzięki ruchliwości swej i umiejętności wyczuwania żądań ogółu nadawał się doskonale do wprowadzania nowości i okazał to już poprzednio w działalności swej warszawskiej. Teraz jednak dopomogły mu okoliczności... wielce niepomysłne. Autorowi „Krakowiaków i Górali“, który tak niedawno przeżywał chwile triumfów, upadek Polski zagroził ruiną. Musiał uchodzić i z trudem tylko, dzięki szczególnej opiece Dąbrowskiego, uratował teatralne skarby: bibliotekę i garderobę. Przybył z niemi do Lwowa w styczniu r. 1795 — i tu miał do zwalczania niemałe trudności ze strony uprzywilejowanego teatru niemieckiego. Niedosć, iż trzeba było odstąpić trzecią część dochodu; musiał wreszcie zgodzić się na łączne prowadzenie teatru polskiego i niemieckiego razem z przedsiębiorcą niemieckim Bullą.

Ten właśnie związek zadecydował o nowym kierunku. Przedstawienia polskie z konieczności szły torem niemieckich; te zaś przeszczepiały na grunt austriackiego Lwowa repertuar wiedeński. W teatrach wiedeńskich wadały pierwiastki preromantyczne. Łzy i poklaski zbierał sentymentalny dramat rycerski, romantyka rycerstwa, zbójców i grozy (Ritter-Räuber-und Schauerromantik) i sztuka czarodziejska (Zauberposse) z efektami maszyneryj i dekoracji i pięknem muzyki operowej. Taki to romantycznie zabarwiony repertuar zdobywa sobie teraz publiczność lwowska.

Dnia 1. października 1795 r. otworzył Bogusławski „połączone widowiska“ przez najnowszą wówczas „dramę“ niemiecką: „Abellino, wielki bandyta“. Tytuł od razu daje pewne pojęcie o tym popularnym utworze Zschokkego, co w Niemczech niezrównanie więcej miał powodzenia od „Zbójców“ Schillera, a nawet francuskiemu tłumaczowi Schillera Lamartellierowi bardziej do serca przypadł niż Karol Moor. Potem na scenie, ulokowanej w kościele pofranciszkańskim, a w lecie w nowozbudowanym amfiteatrze wśród ogrodu Jabłonowskich, ukazuje się „Hamlet“, z przeróbki Schrödera przełożony przez Bogusławskiego; ale bardziej podbija serca, romantycznie sentymentalna „Inez de Castro“ hr. Sodena, którą zachwyceni Warszawiaczy nazwą w lat kilka później „dżdżem łez“. Niebawem do „Grobów Werony“ Merciera, o-

partych na temacie „Romea i Julji“, dołącza się „Essex“ Jana Gotfryda Dyka, „Juliusz de Zassen“ Zschokkego, „Potwarcy“, Kotzebuego, który na szereg lat będzie dla Polski głównym przedstawicielem literatury niemieckiej. Ale szczególne powodzenie zyskała opera osnuta na baśniowych motywach „Flet czarodziejski“ (Zauberflöte) Mozarta, utwór najpopularniejszy wtedy w Wiedniu i wogóle w Niemczech (Herman Goethowski kompromituje się przecież nieznanomością jego bohaterów Pamina i Taminy). Tryumfuje też na scenie lwowskiej*), która nawet maszynistę miała z teatru Schikanedera**). Sam Bogusławski, którego „Krakowiacy i Górale“ reprezentowali w tym teatrze polskość, a „Spazmy modne“ humor polski, daje w stylu melodramatów, równie ulubionych w Paryżu jak w Niemczech, melodramat na tle „Inkasów“ Marmontela „Izkahar“; przemówił w nim do uczuć patriotycznych, w upadku Peru kryjąc aluzję do losów polskich, a wyimaganiom publiki odpowiedział dekoracjami w smaku romantycznym; w akcie pierwszym przedstawiały one okolicę dziką i skalistą, w drugim ruiny pałacu, w trzecim brzeg morza ze wschodem słońca — pierwsze zaś przedstawienie, tak się długo przeciągnęło wśród nocy letniej, że widzowie w zakończeniu ujrzeli — nie teatralne, ale prawdziwe słońce wschodzące.

W roku 1799 Bogusławski wraca do Warszawy i 31 sierpnia zaczyna ponownie „antrepryzę“ przywiezioną ze Lwowa operetką wiedeńską Ferdynanda Eberta „Drzewem Diany“. Przywiózł do stolicy swój repertuar wiedeńsko-lwowski, a jakkolwiek potem, sprzymierzony z Ludwikiem Osińskim, skłaniał się coraz bardziej ku francuskiemu pseudoklasycyzmowi, publiczność uczęszczała najchętniej na sztuki nieklasyczne. Ustalał się repertuar o takim typie, jaki miał, we Lwowie w latach 1795-1799, i przygotowywał grunt dla twórczości w duchu romantyzmu. Przeciw niemu to zwróciło się ostrze krytyki Iksów w pierwszym stadium walki klasyków z romantykami.

Lwów tedy mógł sobie przyznać zasługę inicjatywy wobec nadchodzącej nowej epoki literackiej. Właściwie — zasługi, było w tem mało. Na nią czas przyjdzie dopiero znacznie później, gdy stanie on się naprawdę jedną ze stolic duchowych Polski, gdy przewodzić będzie ruchowi polskiej myśli demokratycznej, gdy rozpali się czujnym duchem obywatelskim i stanowisko swe utwierdzi pracą naukową i kulturalną, gdy będzie miastem Smolki, Grotgera, Szczepanowskiego, Kasprowicza. Ale że właśnie w teatrze lwowskim, który również miał potem dożyć lat wielkości i tryumfu, powstało w czasach i szarych i ciężkich pierwsze ognisko poczynającego się romantyzmu — to również godne jest uwiecznienia w kronice królewskiego grodu mieszczańskiego.

Juljusz Kleiner.

*) Grano ją we Lwowie po niemiecku — po polsku dopiero w Warszawie w r. 1801.

**) Schikaneder był autorem libretta.

Rapsod niewyśpiewany.

Bohaterski rapsod obrony Lwowa w listopadzie 1918-go roku nie znalazł dotąd pieśniarza. „Orleń” Artura Schroedera, czy tak samo zatytułowana bajka sceniczna Henryka Zbierzchowskiego, czy wreszcie pęk liryk-bławatków, złożonych na grobie ofiarnych młodzieńców, to jeszcze — za mało.

A jednak temat wyjątkowy. Niesłychana, najgorętsze spłomnienie serc. Poryw, urągający bezprzykładnie prawom zimnego rozsądku. Żywe ujęcie słów wieszczów: „rozumni szaleńcy”. Czyn tak żywiołowy, jak pęknięcie drzew na wiosnę, jak miłość i śmierć. Prawdy żywe zdobyły triumf: cud.

Dlaczego więc rapsod dotąd niewyśpiewany?

Ach, oczywista, konieczność dystansu, znana recepta na ułożenie się, ucukrowanie przedmiotu. Szymanowski: „co ma ożyć w poezji, musi umrzeć w życiu...”

Już wielokrotnie zadano kłam tym przesadom. Mickiewicz zrazu trochę w nie wierzył, ale potem, zachęcony przez Franciszka Małewskiego, który widziony intuicją iście genialną, zachęcił go do pisania — pod obecnym, bezpośrednim, ciepłym dotknięciem powstania listopadowego, stworzył „Dziady drezdeńskie”. A „Kordjan”? A „Anielli”? Jeszcze to bliższe, jeszcze bardziej związane z rzeczywistością.

Nie ten jednak wzgląd zaważał. Może również nie — brak talentów w dzisiejszej Polsce literackiej. Coś innego. Bardzo znamienne.

Zawinił mały, drwiący, kaśliwy uśmiezek, który raz ujrzałem wokoło ust wybitnego poety, gdy mówił o „Pieśni o ojczyźnie” Kornela Makuszyńskiego. Uśmiezek nie wysuwał żądła ku artyzmowi utworu, chodziło właśnie o — temat.

Uśmiezek ten urasta do znaczenia symbolu.

Bardzośmy są teraz trzeźwi. Klepiemy po ramieniu romantyzm — nie literacki — ale właśnie — życiowy. Budujemy od nowa podstawy życia. Nawracamy do pozytywizmu, pozujemy na chłodnie wyrachowanych Chamberlainów, boimy się słów — wielkich.

Realna racja stanu, rozwój ekonomiczny, żelazne postulaty rzeczywistości fizycznej — tak, tak — niewątpliwie. Ale czym jest ciało bez duszy? Skąd czerpać ma siłę miłość ojczyzny, poświęcenie interesów osobistych na rzecz dobra ogólnego, skąd idealna (nie lekajmy się „wyświechtanego” określenia) służba społeczna i narodowa? Przyrodniczy, realny pogląd na świat doprowadza do rozluźnienia więzi etycznej, do rozwyrżenia instynktów zwierzęcych. Ideał jest słabszy niż rzeczywistość, przekształca ją, modyfikuje, przetrabia, zmienia, wyszlachetnia i wyaniela.

Nie lekceważmy ciała! Nie lekceważmy duszy!!!

Rapsod obrony Lwowa pozostanie niewyśpiewany tak długo, dopóki pojawiać się będzie około ust naszych mały, drwiący, kaśliwy uśmiezek.

Henryk Bałk

Polskie pieśni wojenne.

Paniętany dobrze, jak chętnie śpiewały zastępy polskiego żołnierza. Pieśń rozweselała czas długich, nużących marszów czy kolejowych transportów, pieśń skracala chwile pobytu w okopach, z pieśnią niejedną nawet zginął... Pieśń ta była wspólną naszą własnością, która wszystkich bez względu na stan i zawód łączyła i jednoczyła. Wielostronna była to lutnia. Raz brzmiała poważnie, religioznie, na nutę kościelnych pieśni, to znów rozkapryszala się w swawolnych scherzach czy w namyślnie erotycznych andantinach... Zawarta się w niej pełnia życia chwil wielkiej wojny...

Ale pieśń ta bawiła się nie tylko aktualną nowością. Prawo rozwoju pieśni ludowej odznacza wielką konsekwencją. Nawiązuje ona też do przeszłości. Dawne chóry wskrzesza, śpiewy bohaterskich wojowników, co o przywrócenie tej niepodległości walczyli. Po długich latach polska pieśń wojenna odżyła wraz ze zmartwychwstałym bohaterstwem polskim i wzleciała ku niebu przecudnym hymnem o zwycięstwie... Zostaliśmy więc temi pieśniami obdarzeni ponownie w nowej formie. Natychmiast powstała też świadomość, że obowiązkiem polskiego honoru jest strzeżenie tych skarbów, zebrać i przechować je w naszym mauzoleum narodowym, by nic nie uронić z cennej spuścizny na chwałę współczesnym, a na przykład przyszłym pokoleniom.

Stąd powstały antologie pieśni wojennych i współczesnych: Kronenberga, Zagórskiego, Lama, Fischera-Lempickiego, Szczepańskiego i liczne przyczynki w pismach bieżących. Za pośrednictwem Polskiego Archiwum wojennego wydano odezwę o zbieranie polskich pieśni wojennych. Wyniki nie były jednak zbyt obfite, mimo że w oczach naszych powstawały i zamikały liczne pieśni, jak n.p. w r. 1920 piosenka o „maszynkach”, ułożona przez St. Wasylkowskiego. Należałoby więc dziś jeszcze poszukać w swych zapiskach czy też choćby w pamięci i zanotować pieśni śpiewane wówczas przez polskich żołnierzy, aby nie uронić z objawów kulturalnych tej wielkiej epoki, która nam wolność przyniosła. Oczywiście gromadzić te pieśni należy w jednym ośrodku, a do tego nadaje się najlepiej archiwum etnograficzne Towarzystwa ludoznawczego we Lwowie (Lwów, Uniwersytet). Wszystkim współpracownikom w tem dziele byłaby wdzięczna nie tylko nauka, ale cała Ojczyzna.

Polskie pieśni wojenne zasługują na zebranie tembardziej, że pieśń ta nie złośliwie i bezsilnie nie jęczy, lecz rzuca płomienne wezwania, że obok żartobliwych i swawolnych tonów, zawiera tak wiele bohaterskich porywów i gorącego ukochania ojczyzny.

Adam Fischer

Co było przed Obroną Lwowa?

Tworzące się obecnie za inicjatywą Biura Historycznego Sztabu Generalnego Towarzystwo badania dziejów Obrony Lwowa, poza poszukiwaniami za materiałami, dotyczącymi właściwego okresu tej obrony, tj. od 1-go do 22-go listopada 1918 r., będzie musiało zająć się także gromadzeniem dokumentów, odnoszących się do historii miesięcy, bezpośrednio samą Obroną poprzedzających. Aczkolwiek bowiem sama Obrona była niewątpliwie bezprzykładną w dziejach erupcją bohaterstwa, aczkolwiek zamach „ukraiński” nas zaskoczył, to jednak prace i wysiłki, dokonywane przeważnie w różnych ośrodkach konspiracyjnych okresu poprzedzającego Obronę, chociaż nie ze świadomą myślą o tej Obronie (bo potrzeby i możliwości jej na ogół nieprzewidywano), przyczyniły się zapewne pośrednio do jej zwycięstwa. Materiały, dotyczące tego okresu, chociaż merytorycznie nie związane z Obroną, rzucają jednak z pewnością duży snop światła, pozwalającego zrozumieć lepiej niektóre psychologiczne i materialne elementy dziejów 20 dni listopada 1918 roku.

Uważam, że okres, o którym mowa, to okres od stycznia do listopada 1918 r.

Do zbadania w tym okresie pozostają — między innymi — następujące ośrodki pracy:

1. Młodzież akademicka: wchodzi tu w grę na-przód towarzystwa jawne, przede wszystkim Czytelnia akademicka a następnie organizacje poufne Młodzieży Narodowej (O. M. N.), zarzewiackiej, postępowej itd. Zarówno towarzystwa jawne, jak i kierujące nimi organizacje poufne, odegrały we Lwowie ważną rolę polityczną bezpośrednio przed rozpadem Austrii. Koroną tych wysiłków był założony tuż po wydaniu orędzia przez Radę Regencyjną w październiku 1918, „Akademicki Komitet Wykonawczy” (popularnie zwany „Akawu”), jednoczący w sobie przedstawicieli wszystkich ideowych organizacji młodzieży, którego działalność w ostatnich trzech tygodniach, poprzedzających Obronę Lwowa była — śmiało rzec można — najważniejszym wysiłkiem politycznym całego Lwowa przed przewrotem. Ogólnie i pobieżnie scharakteryzowałem rolę i prace młodzieży akademickiej w r. 1918

przed listopadem we wstępie do sprawozdania „Czytelni Akademickiej” z okazji jej pięćdziesięciolecia. Przypuszczam, że niejedna z wymienionych tam osób musi posiadać jakieś materiały, dotyczące tego okresu, należałoby też przedsięwziąć poszukiwania w archiwach towarzystw młodzieży (n. p. Czytelni Akademickiej).

2. Organizacje wojskowe: obok znanych z czasów dawniejszych, poufnych skupień pracy wojskowej, wchodzi tu w grę założona dopiero w r. 1918 organizacja „Polskich kadrów wojskowych”. Możliwie najpełniejsze zgromadzenie materiałów odnoszących się do prac P. O. W. i P. K. W., w tym okresie dałoby niewątpliwie cenne a może i niespodziewane wyniki. Zaznaczam, że w tym okresie robota „Polskich kadrów wojskowych” koncentrowała się niejako w rękach śp. hr. Aleksandra Skarbka. Nie wiem, czy w pozostałych po Nim papierach przechowały się jakie materiały z tego okresu. Wiem jednak pozytywnie, że mieszkanie hr. Skarbka przy ul. Dwernickiego było wówczas jakby kancelarią tej roboty, że tam odbywały się przeważnie zebrania, w których uczestniczyli przedstawiciele innych organizacji wojskowych, że z tych posiedzeń sporządzano protokoły, wydawano rozkazy, wysyłano pocztę itp. Przypuszczam, że cenne wskazówki do tej dziedziny badań mogłyby dać przede wszystkim pułk. Maczyński i obecni profesorowie Uniwersytetu Poznańskiego dr. Stefan Dąbrowski i dr. Adam Skalkowski.

Wszystkie te prace organizowane były w przewidywaniu nieuchronnego, bliskiego rozpadu monarchii. Że oddały one korzyść Obronie Lwowa — to nieulega wątpliwości.

Niezależnie od poszukiwań w wymienionych kierunkach, należałoby jeszcze zbadać archiwa b. lwowskiej Dyrekcji Policji, której ówczesny dyrektor jest dzisiaj starostą grodzkim. Także archiwum b. Namiestnictwa winno posiadać materiały, któreby na okres poprzedzający listopad 1918 roku, rzuciły potrzebny dziejopisowi naukowemu Obrony Lwowa snop światła.

Stefan Mękowski

ŚMIERĆ MÓWI DO WOJOWNIKA.

Głaz ten biały za całe twe życie ci starczy!
Ani złoto już hełmu, ni kutej dźwięk tarczy,
Ani miecza żelazne cię zbudzą poszczęki...
Ostrzem spasy, co była służebną mej ręki,
Piersi twoje przeszłyam i oto się z łona
Krew polata, jak róże cyprijskie, czerwona,
Byś w purpurze tej krwawej u walki swej kresu
Zstąpił — Heros zwycięski — w podziemie Hadesu!

JAN PIETRZYCKI

Znaczenie Obrony Lwowa.

Obrona Lwowa, to nie epizod wojenny tylko, godny stanąć w jednym rzędzie z największymi czynami oręża, ale przede wszystkim akt państwowy, stwierdzający wobec świata integralną przynależność naszej dzielnicy do Polski.

Nie zrodził się on z politycznych koncepcji dyplomatów, rozstrząsających tę kwestję pod kątem korzyści i szkód, jakie nam dane rozstrzygnięcie przynieść mogło, ale z przeświadczenia całego bez wyjątku polskiego społeczeństwa.

I ten właśnie spontaniczny, przez nikogo nieprzygotowany, a w najkrytyczniejszej chwili poczęty czyn, stanowi dla nas i dla świata najważniejszy dokument prawdy i słuszności, na którym opiera się prawo Polski do tej ziemi.

Chwila rozpadu Austrii i tworzenia się na jej gruzach nowych państwowych tworów, zastała zupełnie nieprzygotowanymi nasze polityczne czynniki tak urzędowe, reprezentowane wówczas przez Radę Regencyjną, jak i obywatelskie, zgrupowane w różnych stronnictwach politycznych i organizacjach społecznych. Polskie społeczeństwo Wschodniej Małopolski było w tej najważniejszej dla niego chwili pozostawione w zupełności własnym siłom, bez żadnego przygotowania i bez żadnych wskazówek nawet, nie mówiąc już zupełnie o jakiegokolwiek organizacji.

Zawiodły również czynniki wojskowe.

Istniały wprawdzie podówczas aż trzy tajne polskie organizacje wojskowe, lecz, jak się okazało, były one tak słabe organizacyjnie i technicznie, że ani nie mogły zaraz z początku przeciwstawić się ukraińskiemu zamachowi, ani też później w swoich ramach skoncentrować organizację, opór i walkę.

Mówiąc to bez myśli krytyki, chętnie przyznaję, że w ostatnich godzinach przed zamachem uczyniły one wszystko, co były w stanie uczynić, i że ich członkowie oddali sprawie Obrony Lwowa niespożyte przysługi. Niemniej jednak musi się stwierdzić, że tak inicjatywa do oporu i walki, jak i stwarzanie warunków ich możliwości, zrodziły się samorzutnie w społeczeństwie.

Chociaż więc ukraiński zamach, przygotowany i wspomagany przez austriackie władze, odrazu zawładnął miastem, już wczesnym rankiem zagrzmiąły na ulicach miasta, a nawet w śródmieściu strzały, poczęto rozbierać ukraińskie posterunki i zdobywać uzbrojone silnie ciężarowe automobile, a przedpołudniem jeszcze, przyszło do pierwszego większego, zwycięskiego dla nas starcia w szkole Sienkiewicza. Wieczorem, sporadyczne strzały, zwały się już w jednolitą symfonię walki, z każdym dniem, a nawet godziną wzmagającej się na sile i przestrzeni, aż odgłos jej przedostał się do reszty Polski, a nawet poza nią, głosząc światu, że Lwów nie poddał się zamachowi, że walczy, a nawet zwycięża.

Ten moment pełnego nieprzygotowania stał się później dla nas i dla sprawy polskiej największym atutem dyplomatycznym. Bo, aby porwać się z gołymi rękoma na świetnie uzbrojone, regularne oddziały wojska i dziesiątkami ochotników, w większości pierwszy raz mających do czynienia z bronią, atakować i wypierać z umocnionych stanowisk setki żołnierzy, aby

pod gradem kul organizować się wojskowo i mimo szalonych strat, jakie ta rozpaczliwa walka za sobą pociągała, wzrastać z każdą godziną nieledwie na sile, aby o głodzie i chłódzie wytrwać na stanowiskach i po znużeniu, do zupełnego upadku sił sięgającym, przechodzić od zacieklej obrony do niemniej zacieklego ataku, na to trzeba było czegoś więcej nad narodowy szowinizm, czy też państwowy imperjalizm! Nie pierwszy, ani też drugi pchał nieletnie dzieci do ucieczki z domu, i składania młodego życia w ofierze. Nie one kazały kobietom chwytać za broń i walczyć, jak tylko najdzielniejszy żołnierz potrafi. Nie one wydobyły z kryjówek mężczyzn, chowających się przed poborem lub zbiegłych z wojska dezertów. Nie one to stawały w jednym szeregu sędziwego radcę dworu obok dzieciaka, profesora Uniwersytetu obok ucznia szkół średnich, a robotnika obok księcia, by z ich zespołu tworzyć te pełne poświęcenia oddziały, których sprawność bojowa w podziw wprawiała starych żołnierzy. Tylko niewzruszone przeświadczenie o słuszności sprawy mogło z dusz ich wydobyć ten górny ton poświęcenia i ofiarności, których od większości z nich nawet najskrupulatniej pojęty obywatelski obowiązek nie mógłby żądać. Tak się walczy tylko na własnej ziemi i za nią!

To też tylko dzięki Obronie Lwowa, uzyskaliśmy uznanie naszych wschodnich granic, mimo, iż w gronie decydujących o tem polityków, mieliśmy niechętnych, a nawet wprost wrogich nam dyplomatów. Gdy w roku 1923 jawiła się we Lwowie przed Marszałkiem Francji Fochem delegacja Związku Obronców Lwowa, składając mu hołd wojskowy i dziękując na jego ręce Francji za jej życzliwość w tej sprawie, on z żołnierską otwartością odezwał się w te mniej więcej słowa: „Nie Francji i nie entencie to zawdzięczacie, lecz samym sobie. Gdyby nie wasz opór i walka, nicby wam one nie pomogły“.

Obrona Lwowa jest w łańcuchu dziejów naszej dzielnicy nowym ogniwem, spajającym ją z Macierzą. Jest ona bowiem powtórzeniem tych walk o jej przynależność do Polski, które zaczęte zaborem Włodzimierza Wielkiego w roku 981-ym powtarzały się kilkakrotnie w pierwszych stuleciach, aby przez przeciąg czterech przeszło następnych istnienia Państwa Polskiego uczynić tę przynależność już niesporną, nawet dla samej ludności ruskiej ją zamieszkującej i to nawet w najcięższych dla upadającej Rzeczypospolitej czasach!

To też żadne, separatystyczne konszachty i podkopy, żadne zamachy, mordy i sabotaże nie stłumią tego zmysłu państwowego, jaki od setek lat i dziesiątek pokoleń każe dzisiejszemu społeczeństwu stać twardo i nieustępliwie pod hasłem przynależności do Polski. A tak samo i Polska, pod grozą utraty swego państwowego bezpieczeństwa, wprost nawet swego istnienia, nie może się wyrzec tej ziemi, która jest warownią jej granic na wschodzie a gwarancją bezpieczeństwa na zachodzie.

Tu, na tej ziemi, w ciągu setek lat stawała Polska czoło grożącemu jej i Europie zalewowi mongolskiej dziczy.

Tu, na tej ziemi, postawiła tamę rozkładem i zgnilizną cuchnącej bizantyńskiej pseudokulturze,

która w ciągu tylu wieków niczego trwałego stworzyć niepotrafiła, lecz za to skaziła umysły i zatrula dusze milionów ludu, aby go umęczonego i oglupionego pod carskim knutem, rzucić na dalszą pastwę bolszewickim doktrynerom.

Tu, na tej ziemi, polska kultura utrwaliła zachodnio-europejski ład społeczny, a rzucając pod jego rozwój demokratyczne podstawy, w wielkiej mierze przyczyniła się także do ludowego ruskiego odrodzenia, czy to szczepiąc hasła wolności człowieka, czy też przyczyniając się do obudzenia i rozwoju ruskiej literatury.

Nigdy bowiem nie prowadziła Polską wynaradawiającej polityki! I raczej możnaby jej postawić zarzut, że zbyt mało dbała o swe pierworodne dzieci, spokojnie znosząc ich wynarodowienie.

I teraz również, ani Ona, ani nikt z nas, obywateli tej dzielnicy, nie zamyśla nikomu odbierać jego praw przyrodzonych do życia i rozwoju i narzucać mu obce. Ale też wszyscy bez wyjątku jej mieszkańcy muszą się pogodzić z myślą, że na polskiej ziemi żyją i muszą bez zastrzeżeń poddać się jej prawom i spełniać wynikające z nich obowiązki. Po autentycznym, z przed tysiąca lat prawie dokumencie ruskiego kronikarza Nestora, który pod datą 981 roku w słowach:

„Ide Władimir k'Lacham i zaniał grady ich Pere-myszl, Czerwień i inny i że sut do seho dnia pod Rusiu“, ponad wszelką wątpliwość stwierdził polskość tej ziemi, stwierdziła ją w ciągu następnych setek lat krew i praca polska, które w nią wsiąkły.

Obrona Lwowa z listopada 1918 roku, to jakby nowe potwierdzenie tych dokumentów u progu odzyskanej niepodległości naszej Ojczyzny dokonane i ostrzeżenie dla tych wszystkich, którzyby ośmielili się ich ważność podawać w wątpliwość. A widomą pieczęcią tego dokumentu, to cmentarz Obrońców Lwowa, kryjący w swym łonie dzieci całej Polski i tysiącami krzyżów dający świadectwo, że jej bronić umiemy i potrafimy obronić!

W tej uroczystej chwili, gdy Polska święci pierwszy jubileusz odzyskania Swej Niepodległości, myśl nasza zwraca się w hołdzie do tych Towarzyszy i Towarzystek broni, którzy ofiarą życia w niemalej mierze tę Niepodległość utrwaliли.

Odpoczywajcie spokojnie, Koledzy i Koleżanki. Spełniliście swój obowiązek. My, pozostali przy życiu Obrońcy Lwowa z listopada 1918 roku przyrzekamy Wam, że i my go, do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi spełnimy.

Władysław Orobkiewicz.

O znanym Żołnierzu nieznanym...

Nazwisko każdego żołnierza, który padł na wojnie znajduje w społeczeństwach państw sprzymierzonych wdzięczną pamięć. Każda miejscowość stawiając pomnik, umieszcza na nim nazwiska wszystkich swych poległych, każda instytucja złotymi głoskami wypisuje na tablicach na najwidoczniejszym miejscu nazwiska wszystkich, którzy za życia byli z nią w jakikolwiek sposób związani. Na cmentarzu, na grobie, na najpiękniejszych placach, w teatrach, w instytucjach, zawsze i wszędzie przypomina sobie ludność nazwiska tych, którzy życie swe oddali wielkiej sprawie Narodu.

Ale pomimo najczulszej troski mógł znaleźć się Poległy, którego nazwisko nie było znanem, więc powstała myśl, aby okazać, że się i o nich nie zapomni, że się Go także czci. Tę myśl urzeczywistniono w czci nieznanego Żołnierza, jako uzupełnieniu czci Żołnierzy znanych.

A u nas?

I u nas przyjęto przecudną myśl czczenia Nieznanego Żołnierza. Niema człowieka, któryby nie doceniał głębi i piękna tego symbolu i hołdu.

Ale czy zdajemy sobie sprawę, że uczczenie nieznanego Żołnierza jest jakby najwyższym szczytem piramidy, której podstawę i trzon stanowi pamięć o tych, którzy są z nazwiska znani?

Czy społeczeństwo polskie pamięta o tych ostatnich? Czy nie wystawiło ono szczytu piramidy, z pod którego podstawa usuwa się i kruszy i grzęźnie w niepamięci?

Dziś jeszcze pamiętamy nazwiska żołnierzy, których znaleźmy, ale czy wkrótce nie zatrze się

ich pamięć, czy nie stana się oni dla potomności nieznanymi? Czy nie wkładamy znanych żołnierzy do wspólnego dołu nieznanych?

Sądę, że należy pomyśleć o tem. Społeczeństwo Lwowa nieraz inicjowało i pierwsze urzeczywistniało myśli, które potem przyjmowały się w Polsce.

Szeroko otworzmy objęcia miłości, pietyzmu i wdzięczności.

Rozważmy, postanówmy i zorganizujmy godny sposób wyrwania Ich z toni niepamięci.

Niech Cześć Ich Pamięci stanie się ciałem.

Poległy ma prawo do pamięci także indywidualnej. Ma prawo, choćby był za życia najcichszym i najskromniejszym.

Prawda. Spełnił tylko swój obowiązek. Jednak danem Mu było spełnić go w sposób, który Go stawia w rzędzie Bohaterów Narodu.

Życie swe oddał dla Idei. Lecz misja Jego trwa i po śmierci. Nie wolno nam tej misji przerywać przez puszczenie Go w niepamięć.

Z pamięci o Nim wyrasta dla żywych ideał, wzór pracy, siła do czynu. Jego misja jest w dalszym ciągu — może więcej jeszcze niż za życia — twórcza, życiodajna.

Naród stanowią nie tylko ci, którzy są, ale także Ci, którzy byli i którzy będą. Czcimy tych, którzy byli, a są dumą Narodu i źródłem Jego niepodległego życia, radości i szczęścia.

Henryk Loewenherz

Niestosowność nazwy „Małopolska Wsch.”

Odrodzenie państwa nakłada na nas obowiązek przestrzegania terminologii ścisłej w zakresie najrozmaitszych nazw publicznych. W zasadzie powinny się one opierać na utartej tradycji historycznej dawnej niepodległej Polski, a odstępować od niej wolno tylko w wypadkach rzadkich, podyktowanych bezwzględną koniecznością.

Otóż ziemie województw południowo-wschodnich dzisiejszego państwa mają to nieszczęście, że przywarł do nich termin „Małopolska Wschodnia”. Termin ten jest dziwołagiem i nie ma uzasadnienia ani w historii, ani w realnych stosunkach naszej dzisiejszej geografii politycznej.

Małopolska w obszerniejszej słowa znaczeniu, używanem potocznie i urzędownie w czasach Polski przedrozbiorowej, to pojęcie równe historycznej Wielkopolsce, a także Litwie. To była właściwa prowincja Małej Polski; stanowiła ona rozległy kraj złożony w części ze starych etnograficznie polskich ziem, a to krakowskiej i sandomierskiej wraz z lubelską, a po części z ziem proveniencji ruskiej, t. j. z dawnych województw ruskiego i bełzkiego, podlaskiego, wołyńskiego, podolskiego, bractaw-

skiego, kijowskiego. Tak było za czasów Sejmu czteroletniego.

Wielkopolskę w znaczeniu obszerniejszem tworzyły województwa: poznańskie, kaliskie, gnieźnieńskie, sieradzkie, łęczyckie, brzesko-kujawskie, inowrocławskie, płockie, mazowieckie, rawskie.

Jak widzimy, pojęcie Małopolski nie pozostaje w żadnym stosunku do tworu administracji austriackiej pod nazwą Galicja, czy Galicja wschodnia. Zabór austriacki stanowił część historycznej Małopolski w znaczeniu obszerniejszem. Sama nazwa Galicji w sztuczny sposób była rozciągnięta na ziemie rdzennie polskie, nie mające nic wspólnego z dawnym ruskim Haliczem.

Prawdziwa Małopolska wschodnia, to albo lubelskie z pasem sandomierskim na południu od Wisły, t. j. Rozwadów, Nisko i dalej do Pilzna, albo ziemie województw bractawskiego i kijowskiego.

Dzisiejszą połać kraju — odpowiadającą przedwojennej Galicji wschodniej, najlepiej nazywać albo Ziemią Czerwieńską, lub wprost województwami południowo-wschodnimi.

Stanisław Zakrzewski

NAUKA GROBÓW.

I.

Nie nieście smutków na te uroczyska

Pomiędzy żywe umarłych ogrody:

Czy nie widzicie ognia, co z nich tryska,

Ażeby spłynąć w żywota prąd młody?

Czy nie słyszycie mocy, co się zrywa

Z letargu śmierci — nie z hańby łańcucha?

Czy nie czujecie, że w nich jest prawdziwa

Lepsza i mędrsza część naszego ducha?

O bracia moi, kłóćcy się z sobą

Nad tą i ową swoich celów miedzą —

Podajcie cicho i serce tym grobom,

A jak żyć trzeba — one wam powiedzą...

II.

Bośmy na słońce wywalili bramy,

Ale — o męko przełomowej chwili! —

Dziesiątka wodzów ala siebie szukamy,

By przez manowce dróg nas prowadzili;

Okrzyknęliśmy dziesiątki sztandarów

I dziesięć hasel — a ta ziemia czeka

Krwi naszej pracy i miłości czarów

I zjednoczonych sił Ducha - Cztowieka;

Zaledwie w łunie, co barwi przestworza,

Swe wieczne prawa ukazał światu —

A już się w głębi rysuje cień noża,

Którym przegrzącać poczyna — brat bratu!

III.

„Wśród was błądzimy z pośmiertną swobodą,

„Najczystszych tęsknot do was mówiąc echem;

„Naszą pijecie krew z ojczyzną wodą,

„Naszą wdychacie jaźń z każdym oddechem.

„Wśród was jesteśmy my, nierozdzieleni,

„W. tem kole życia, które nas jednoczy,

„Kiedy do niebios wznosi się płomieni

„I znowu w śmierci pogrąża omroczy.

„Wśród was jesteśmy, aby stać na straży

„Tych ogni, zanim czarny wiatr je zgasi...

„Bo jeśli żywi odbiegają ołtarzy,

„To strzedz ich musimy my — umarli wasi!

IV.

„Przez nas życie. W. naszym testamencie

„Przekazaliśmy wam hasła wyzwoleni

„I nasze będzie ciężko zakłęcie

„Ponad głowami wschodzących pokoleń

„I nasza miłość zapada jak brzemie

„W. otchłanie waszych serc nakazem trudu, —

„Miłość, co winna umiać tę ziemię

„Słoneczną pracą szczęśliwego ludu;

„Miłość, co wszystkich wiar się odprzysięga,

„Gdy tylko jedna jest czynu konieczność:

„Budować przyszłość tę, której potęga

„Ludowi drogę otworzy na wieczność.

V.

„Z męką tęsknoty kładlim w grobach kości
„Przez ciemność długich lat. W grobach my drżeli,
„Czekając, rychło zgwałconej ludzkości
„Gniew wichrem wstanie, płomieniem wystrzeli.

„Oto złączeniem przez mogiły świeże,
„Prąd naszych pragnień przez krew waszą płynie:
„Niechże zawarte z zmarłymi przymierze
„Umocni tę Ojczyznę. A nie zginie“.

ARTUR ĆWIKOWSKI

Tobie kraju!

Tobie kraju mój drogi składam dziś tę nie-
wprawną, po żołnierską pieśń — choć nie wiem, czy
zdołam Ci kiedy wyśpiewać wdzięczność za to wszy-
stko, co mam z Twojej łaski.

Wszak jeśli mi dziś wolno po imieniu nazywać
me radości i smutki, mój dzień powszedni i odpoc-
zynek w pracy — Tobie to zawdzięczam!

Nie szczędziłem sił i w godzinach próby stałem
się jednym z promieni tarczy, co Cię ochraniała.

Dziś płacisz mi zawiązką i Sam stajesz się
dla mnie tarczą, w której blasku wolno mi roz-
kwitać. A przecież dręczy mnie wciąż myśl, że wczoraj za-
mało Ci ofiarowałem, aby mój dziś żądać tak wiele.

Bo wyznać muszę w pokorze, że w chwilach
znużenia bladłem nieraz wśród niebezpieczeństw, pod-
jętych dla Ciebie i z za czarnego bastjonu chmur nie
mogłem dojrzeć tęczy Zmartwychwstania.

Lecz jeśli wtedy nie chciałeś odemnie ofiary
z życia, to dziś przyjmij dar z wygodnego odpoc-
zynku — śmierci.

Bo jeśli nie całkiem wypełniłem Twoje hasło,
jeśli w duszy mej kryją się jeszcze jakieś cienie
i fałszy, to tembardziej pragnę je teraz wygładzić i —
daleko odrzucając myśl o grobie — w Tobie, kraju
mój drogi, żyć chcę wiecznie.

Juljusz Stefan Petry.

NAJSZLACHETNIEJSZE

WÓDKI i LIKIERY

SĄ Z FABRYKI

Hr. Alfreda POTOCKIEGO

w Łańcucie.

GENERALNA REPREZENTACJA

NA CAŁĄ POLSKĘ

Bronisław WINNICKI i Paweł KLEIN

Lwów, ul. 3-go Maja 1. 12.

Tel. 6-58.

WŁADYSŁAW CIECHULSKI



Lwów, Legionów 5.

Tel. 31-80.

**Główna sprzedaż parasolek krajowych
Fabryki RUDOLFA WEISSIGA
w Bydgoszczy,**

**która otrzymała 3-cią nagrodę na tego-
rocznej wystawie parasoli w Magdeburgu.**

Rytm życia lwowskiego.

Luźne uwagi.

Już gmach Uniwersytetu (dla nas przedwojennych pozostanie on zawsze gmachem sejmowym) pokrył się, szkoda że dopiero na jesień, przeźroczystą szatą rusztowań. Będą ostatniego we Lwowie między gmachami publicznymi inwalidę wojennego biełili i czyścili tak, że stanie w rządzie gmachów i domów, prezentujących się widzowi na Wysokim Zamku jak podłużne, białe plamy, niby budowle gdzieś na średnio dalekim wschodzie lub na zupełnie odległym południu.

Blizny weterana przejdą do historii i pozostaną w pamięci jako doświadczenie i źródło nauki. Lecz skoro blizny się już zrosły, należy je przykryć nową skórą, a życie musi iść dalej. I dlatego dobrze się stało, że uniwersytet czy tam sejm pomyślał wreszcie o swojej toalecie.

*

Pamiętamy, raczej zaczynamy zapominać, jak to niewiele lat temu całe ulicę, miasto jako całość robiły wrażenie wojennego inwalidy. Skąpe światła, lepkie błoto, liczne wyboje, rzadkie dorożki i smutni przechodnie, oto był obraz ówczesny. Miasto jakby się zadumało nad uderzeniami losu i nad burzą ostatnią fazą swoich dziejów, przysiadło jak stara kobieta przy drodze, splótło ręce i zadumało się.

Ręce te rozwarły się i wzięły do dzieła. Płuca naszego miasta, wielkie skwery, od teatru do Akademickiej i Komendzie korpusnej wiodące, oświetlone są co wieczór światłem mlecznym konstelacji wielkich lamp elektrycznych, dających przedsmak wielkiego miasta, wielkiego ruchu, pięknej przyszłości. Aż coraz więcej mknie ulicami, które na drodze sumiennej, choć czasem powolnej ewolucji zmierzają ku temu, aby mieć jaknajmniej dziur. Drapacz chmur, relatywny, buduje się przy ul. Akademickiej. Może szkoda, że będzie zasłaniał widok na skwery, że tamować będzie oddech, ale zawsze to ruch, zawsze przepowiednia przyszłości. I tak, chodząc po Lwowie, cieszymy się każdą nowo wybrukowaną ulicą, każdym chodnikiem nowo ułożonym, a budujące się linie tramwajowe przepelniają nas dumą, pozwalającą zapomnieć, że ofiarą rozwoju padły dwa rzędy pięknych drzew. Cieszymy się tem, że mamy wielką nową salę kinową, a gdy raz, w czasie Targów czy wyścigów, nie pamiętam, rzędy aut poczęły sunąć naszym corsem, jak samochodów rozrywać powietrze a policjanci rozpaczliwie machać swoimi buławami, wtedy ludność tak się zadziwiła i ucieszyła, że niemal pół Lwowa wylęzło na ul. Legionów, otwierając oczy, że takie nadzwyczajne rzeczy dzieją się

SUKNA W WIELKIM WYBORZE na ubrania męskie, palt, futra, płaszcze, mundurki studenckie, kostjumy i płaszcze damskie; materiały i bundy a la sławuckie lambrakiny w kolorach na zastony i portjery, kore na łóżka i na konie; derki i pledy poleca: **FABRYCZNY SKŁAD SUKNA LUDWIK RALSKI**
Lwów, Rutowskiego 7.
(naprzeciw Katedry)
TOWARY DOBOROWE

Bizuterję najpiękniejszą
najlepsze **Zegarki**

poleca tanio firma

J. DĄBROWSKI - L. ROZWARZEWSKI
we Lwowie Akademicka 2. Tel. 27-29.

Dogodne warunki. — Własne pracownia.



w ich mieście. Może to już Nowy Jork, Londyn czy Paryż, a nie Lwów? I boczne ulice, jeszcze ciemne, jeszcze błotniste i mało odwiedzane, jakby poczęły żalić się na swoją dolę i upominać się o swoją kolej. Uspokójcie się, ręczę wam, przyjdzie i na was czas.

Wiara w wznagający się rytm życia lwowskiego, oto co jest duchową podstawą materialnego rozwoju. Lwowianin poczyna wierzyć, że z jego miasta na nowo będą ludzie. Nie ucieka już tylko wzrokiem pamięci w przeszłość, w której masa nagromadzonego zewsząd życia polskiego buchała jak para ze zbyt małego kotła — może zresztą my przedwojenni, wówczas młodzi, patrzymy na te dawne wypadki jak dawniej z widowni teatralnej ku wyżej położonej scenie i dlatego wydają się nam większe, gdy dziś znajdujemy się na równym poziomie z dziejami, na widowni podwyższonej lub też zgoła na scenie. Może dziś nowe pokolenie patrzy znów w górę ku dzisiejszej scenie?

Lwowianin wybiega wzrokiem w przyszłość, wierzy, że są i będą ku temu wszelkie warunki, aby przyćmiła dawne dzieje.

Już wraca emigrant jeden i drugi, asymiluje się przybysz setny i tysięczny, już na nowo wraca tak zdrowy i niezbędny patriotyzm lokalny, pragnący, aby Polska stała się jak najwyżej, lecz żeby równocześnie między jej miastami Lwów był *primus inter pares*.

Bo dziwną jest siła budzenia sympatii, przywiązywania do siebie ludzi na zawsze, która tkwi w tym mieście bez poży, demokratycznie kpiącym, niwelującym wszelkie uroczyste zakłamania. Ona to, tajemnicza i nieustrudzona, jest motorem głównym energii, z której począł się przyspieszający się na nowo i potężniejący rytm życia lwowskiego.

Włodzimierz Jampolski

Druga walka o niepodległość.

Laury bojowe okupił Lwów ceną, którą okupuje je każdy szczerzy żołnierz: potokami krwi i zubożeniem. To też po przeżyciu epopeji orężnej gród nasz stanął do wyścigu pracy z szansami szczególnie niekorzystnymi, zdeklasowany politycznie i gospodarczo do poziomu nieomal mieściny.

Tem większą radością napęłnia Lwowian każdy postęp życia gospodarczego, każdy objaw rozrostu i krzepnięcia rodzinnego miasta. A objawów takich jest sporo.

W ciągu ostatniego dziesięciolecia przemysł Lwowa wzbogacił się o szereg nowych warsztatów pracy, względnie odbudował dawniejsze, zwłaszcza w dziedzinie przemysłu spożywczego i rolniczego. Powstało kilka fabryk bielizny, rozwijają się wyroby papiernicze.

Zabity przez wojnę i katastrofę walutową zmysł oszczędności odradza się; suma wkładów w dwu najpoważniejszych instytucjach oszczędnościowych w latach 1924, 1925, 1926, 1927 podnosi się w stosunku 13 : 79 : 174 : 421, ilość książeczek oszczędnościowych w obiegu spadając ustawicznie do r. 1923, wykazuje od r. 1924 stały wzrost, który można wyrazić stosunkiem: 121 (rok 1923) : 127 : 130 : 138 : 151.

Podobne dwie fazy rozwoju wykazuje ruch spółdzielczy.

W latach 1919—1923, w okresie upadku życia gospodarczego i moralności publicznej, oraz podchodzenia do zagadnień gospodarczych z partyjno-politycznej strony, spółdzielczość — mimo przeciwnych często pozorów — podupada. Dopiero od roku 1924 dźwiga się powoli, lecz stale, czego wyrazem są cyfry sum bilansowych: 1925 r. — 21 milionów zł., 1926 r. — 25 milj. zł., 1927 r. — około 63 milj. zł., oraz rosnące w tym czasie udziały członków: 1,965.000 zł. — 2,918.000 zł. — 5 milionów zł. Za-

znaczyć należy, że spółdzielczość polska objawia silny pęd do dalszego rozwoju.

Lwów nie tylko pracuje, lecz również rośnie. Ludność jego zwiększa się mimo, że przyrost naturalny jest w naszym mieście — podobnie jak w innych większych środowiskach — raczej skąpy. Wrazem tej tendencji do wzrostu, jest wznaganie się agend gminy i zakładów gminnych, by wspomnieć choćby o wzmożonej pracy inwestycyjnej zakładów elektrycznych (nowe linie tramwajowe), o działalności gazowni, czy wreszcie o wielkich postępach, jakie poczyniono w bieżącym roku w dziedzinie zaopatrywania ludności w wodę.

Lwów rośnie i pracuje, Praca ta jest zacięta i twarda, zaś tempo jej ostre. Mimo to warunki istnienia warsztatów produkcyjnych są ciężkie, a ta i owa placówka upada. Zapobiec temu może tylko spożywcza.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w przeddzień 10 rocznicy niepodległości politycznej Państwa, po całej Polsce rozlega się gromkie hasło: wyjść z okopów codziennej pracy dla siebie, stoczyć walkę o niepodległość **gospodarczą** Państwa. We wszystkich większych ośrodkach organizuje się akcja zwalczania produkcji obcej, a popierania rodzimej. Ogół coraz lepiej rozumie, że inwazja obcej pracy prowadzi nas do ruiny i że rozprawić się z nią skutecznie może jedynie samo społeczeństwo, tj. kupujący.

Lwów, który przed 10 laty umiał zwycięsko skrzyżować bagnety w nierównej walce, rocznicę swego bohaterstwa uczy najpiękniej zorganizowaniem systematycznej, solidarnej, wytrwałej i upartej obrony przed zalewem obcych sił gospodarczych. W walce, ku której idzie cała Polska, miasto-żołnierz musi wysunąć się na front.

Stanisław Kupczyński

POLSKI BANK PRZEMYSŁOWY

Rok założenia 1910.

Kapitał akcyjny zł. 6,000.000. Fundusze rezerwowe około 3,300.000.

Zakład Główny we Lwowie, 3-go Maja 9.

ODDZIAŁY: w kraju: Borysław, Drohobycz, Gdańsk, Gdynia,
Gorlice, Kraków, Krosno, Łódź, Stryj, Warszawa;
zagranicą: Paryż (w organizacji).

Adres telegraficzny Zakładu Głównego i Oddziałów: „INDUSTRIA“.

POLSKI BANK PRZEMYSŁOWY PRZYJMUJE WKŁADY ZŁOTOWE I W WALUTACH OBCYCH NA NAJKORZYSTNIEJSZYCH WARUNKACH tak pod względem oprocentowania jak i wypowiedzenia, oraz WYDAJE KSIĄŻECZKI WKŁADKOWE OSZCZĘDNOŚCIOWE ZŁOTOWE I DOLAROWE, które w myśl art. 29 prawa bankowego przyjmowane są na kaucje i wadja na równi z gotowizną.

Korespondenci we wszystkich ważniejszych ogniskach handlowych świata.

„MARATON”

Polskie Zakłady Przemysłu Sportowego

Lwów, ul. Akademicka 22. Tel. 30-23.



Projektuje i urządza sale gimnastyczne. Stale na składzie: stroje gimnastyczne, przybory szermiercze, lekkoatletyczne, bokserskie i piłki nożnej. Motocykle, rowery. Narty krajowe i norwęgskie, wiązania wszelkich najnowszych systemów. Hokej, oryginalny kanadyjski. Łyżwy wszelkich rodzajów.  Ceny konkurencyjne.

P O M P Y STUDZIENNE

podwójnie działające,
najnowszego typu
własnej konstrukcji

Poleca

**Przedsiębiorstwo
wiercenia studzien**

Inżynier

Franciszek **Dominik**

Lwów, ul. 29 Listopada I. 37.

Telefon Nr. 18-55.

Dla Pań

Pierwszorzędne nowości bławatne

poleca firma

LITWINOWICZ

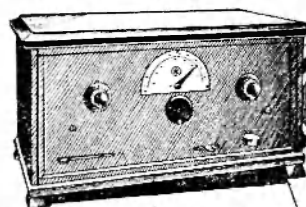
Lwów, ulica Halicka 21.

PRZEDSTAWICIELSTWO NA POLSKĘ:
LWÓW, ul. KOPERNIKA 18.

Neutrodyna
5 cío-lampowa

**BARWIK -
RADJO**

- BORZEMSKI



KOCH & STERZEL
DREZNO

MODEL ER 544
Z wycechowaną skalą długości
fal. Zasiąg od 190-2300m bez
wymiany cewek Konstrukcja
okranowana Cena zł. 800.-
Cennik nowości bezpłatnie.

CUKIERNIA HIERONIMA WELZA

LWÓW, UL. AKADEMICKA L. 5

*poleca Czekoladę tabliczkową, Cukry deserowe, Karmelki owocowe,
Owoce kondyzowane, Nowość: Mleczna biała z migdałami.*

BRONZY GALANTERJA

ST. WAGNER i A. LANG

LWÓW, PLAC MARJACKI L. 7.

PRZEBORY DO PODRÓŻY

Trenchcoaty zimowe męskie i damskie

Powszechny Skład Odzieży

Pasaż Mikolascha. Telefon 18-19.

DRUKARNIA „SŁOWA POLSKIEGO“
LWÓW, ZIMOROWICZA 15
WYKONYWA WSZELKIE
DRUKI W ZAKRES DUKARSTWA
WCHODZĄCE

Jedzcie Chleb Merkury!

„SILESIANA”

SPÓŁKA WĘGLOWA Z OGR. ODP.

WE LWOWIE, UL. LEGJONÓW 1, II p.

BIURO SPRZEDAŻY
ZWIĄZKU KOPALŃ GÓRNOŚLĄSKICH
„ROBUR”
W KATOWICACH

ADAM OPOLSKI

INŻYNIER-ARCHITEKT

LWÓW, ZYBLIKIEWICZA 5
— — TELEFON Nr. 33-92 — —

„A T I S”

ARTYKUŁY TECHNICZNE
— I SAMOCHODOWE —

LWÓW, — PLAC MARJACKI 8

NAJWIĘKSZY WYBÓR AKCESORJI
I PRZYBORÓW SAMOCHODÓ-
WYCH — NOWE TYPY WZMOC-
NIONYCH OPON „MICHELIN”
I „FIRESTONE” — OKUCIA DO
BUDOWY KAROSERJI SAMOCHO-
DOWYCH — MOTOCYKLE „MONET
& GOYON.



W KAŻDYM DOMU

W 1-EJ MINUCIE

SPORZĄDZIĆ MOŻNA NA CHE-
MICZNIE CZYSTYM K.W ASIE
WĘGLOWYM DOSKONAŁĄ

Wodę sodową

i inne

Napoje orzeźwiające

przy pomocy

Syfonu „SPARKLETA”

Cenniki i recepty na żądanie wysyła

Generalna Reprezentacja

Autosyfon „SPARKLETA”

Lwów, ul. Kopernika 42 b. — Tel. 42-48.

ODZNACZONY ZŁOTEMI MEDALAMI

ZAKŁAD RYTOWNICZY

Eugenjusz Marjan Unger

Pracownia pieczęci kauczuk. i metal., odznak
zwykłych i emaljowanych, medali,
tablic, żetonów.

Skład numeratorów, szablonów i farb do
pieczęci.

Lwów, Chorążczyzna 7.

WSZELKIE DELIKATESY
WYŚMIENITE WĘDLINY —
WINA, WÓDKI, LIKIERY —
KONIAKI, RUMY, — DALEJ
ŁOSOSIE, WĘGORZE, SAR-
DYNKI, SERY, KONSERWY,
OWOCE, WSZYSTKO ZA-
WSZE ŚWIEŻE, DOBOROWEJ
JAKOŚCI I W NAJWIĘK-
SZYM WYBORZE POLECA NAJTANIEJ
ZOFJA TELICZEK
we Lwowie, ul. Akademicka 6

Państwowy Bank Rolny

Oddział we Lwowie, ulica Piłsudskiego l. 25.

Instytucja Centralna: Warszawa, ulica Nowogrodzka 50.

Oddziały: w Warszawie (Oddział Główny),
Grudziądzu, Katowicach, Kielcach, Krako-
wie, Lublinie, Lwowie, Łucku, Pińsku, Po-
znaniu, Wilnie. Agentura w Gdyni.

Adres telegraficzny Instytucji Centralnej: „Centropobrol”; Oddziałów: „Pebrol”

— **Kapitał zakładowy 100 milionów złotych.** —

Państwowy Bank Rolny

udziela bezpośrednio drobnym i średnim gospodarstwom rolnym długotermino-
wych pożyczek amortyzacyjnych w 7% Listach Zastawnych i pożyczek na me-
lioracje rolne w 7% obligacjach, oraz kredytów krótkoterminowych za pośre-
dnictwem spółdzielni i samorządowych instytucji kredytowych; przyjmuje wkłady:
z 3 mies. terminem wypowiedzenia za oprocentowaniem rocznem w wysokości
6 od sta, z 1 mies. terminem — 5 od sta, na każde żądanie — 4 od sta, oraz
na książeczki oszczędnościowe za oprocentowaniem 6 od sta rocznie.
Dostarcza nawozów sztucznych na dogodnych warunkach kredytowych.

Biuro inżynierskie
dla urządzeń fabrycznych

„AREOS”

Lwów, ul. Zygmuntowska l. 9
Telefon Nr. 56-76.

Urządza wszelkiego rodzaju kompletne
zakłady przemysłowe, warsztaty większe
i mniejsze, oraz dostarcza poszczególne
maszyny, materiały techniczne, narzędzia
dla każdej gałęzi przemysłu.

MATERJAŁY IZOLACYJNE, SPAWALNE,
CZĘŚCI oraz MATERJAŁY do SPAWANIA

Ceny fabryczne — Dogodne warunki spłaty.

FUTRA

wszelkiego rodzaju naj-
korzystniej zamawiać
u firmy

Andrzej Kuźmiński
Lwów, Pl. Marjacki 9. Tel. 42-53.

CUKIERNIA W. URBANIK

LWÓW
UL. SYKSTUSKA 35.

Gotujcie i pieczcie na gazie!
Używajcie gazowych pieców
kapielowych!

Prasujcie na gazie!

Kompletne urządzenia gazowe
wykonuje na dogodnie spłaty ratalne

ZAKŁAD GAZOWY MIEJSKI
WE LWOWIE, UL. GAZOWA 28
TELEFON Nr. 492 i 43 — TELEFON SKLEPU 11-61

DOSTARCZA

K O K S

Z NAJLEPSZYCH WĘGLI GÓRNO-
ŚLĄSKICH DO CELÓW KOWAL-
SKICH I OPAŁU, WAGONOWO I DE-
TAJLICZNIE PO CENACH NAJNIŻSZ.

FRANCISZEK IRZYK

ZAKŁAD DLA INSTALACJI WODO-
CIĄGÓW, CENTRALNEGO OGRZE-
WANIA, URZĄDZEŃ GAZOWYCH
I T. D.

LWÓW, UL. KOPERNIKA 30
TELEFON 884 : : : : : TELEFON 884

**KRAKOWSKIE
TOWARZYSTWO
WZAJEMNYCH
UBEZPIECZEŃ**
(ZAŁOŻONE W ROKU 1860)

NAJSTARSZY W POLSCE ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ,
OPARTY NA WZAJEMNOŚCI, UBEZPIECZA NA
NAJDOGODNIEJSZYCH WARUNKACH:

OD SZKÓD OGNIOWYCH I EKSPLOZJI
— — OD SZKÓD GRADOWYCH — —
— — OD KRADZIEŻY I RABUNKU — —
OD ODPOWIEDZIALNOŚCI PRAWNEJ
— — — OD WYPADKÓW — — —
OD USZKODZEŃ SAMOCHODÓW
(AUTOCASCO)

ZAWIERA
UBEZPIECZENIA NA ŻYCIE I RENTY
JEDNOSTKOWE I ZBIOROWE WE WSZYSTKICH
ROZPOWSZECHNIONYCH KOMBINACJACH

Oddział Towarzystwa we LWOWIE, —
ul. 3-go Maja 16 — Tel.: 2-43 i 13-10.

**SANATORJUM
POŁOŻNICZO-
GINEKOLOGICZNE**

„S A L U S“

L w ó w, — ul. Senatorska Nr. 3.
Telefon 47-47.

NAJWIĘKSZY WYBÓR PORCELANY,
SZKŁA, CHIŃSKIEGO SREBRA FRAGETA
I ALPAKI PO NAJTAŃSZYCH CENACH
POLECA NAJSTARSZA FIRMA, ZAŁO-
ŻONA W 1845 ROKU

KAZIMIERZ LEWICKI

WŁAŚCICIELE:

JAKÓB i ALEKSANDER LEWICCY
Lwów, plac Marjacki 10. — Tel. 29-15.

Małopolski Zakład Odzieży Żurowski, Zalescy i Ska

Ska z ogr. odp.

Lwów, ulica Szpitalna l. 1. — Telefon 53.

Poleca

**wełny i sukna na ubrania męskie i damskie,
najmodniejsze materje jedwabne, koce, pledy, trykotaże,
płótna, szyfony, obrusy, obuwie, bieliznę, pończochy i wszel-
ką galanterję.**

Wielki wybór!

Ceny niskie!

6 rat

Dogodne spłaty

6 rat

Główny skład fabryki ROMANA ŻUROWSKIEGO w Leszczkowie.

**MODNE TOWARY
BŁAWATNE DLAPAN**

Jedwabie — Plusze — Płótna

SUKNA MĘSKIE

stale w największym wyborze

poleca firma

**STACHIEWICZ
i ARRYSOWSKI
Lwów, Rynek-Trybunalska**

Jan Wallach i Syn

**Fabryczny skład sukna
i towarów wełnianych**

Rok zał. 1841 LWÓW, RYNEK 33 Tel. 47-16

**Poleca na każdy sezon OLBRZYMI WYBÓR
NOWOŚCI z fabryk krajowych, angielskich
i berneńskich — KOCE NA ŁÓŻKA i KONIE,
BUNDY, LODENY LIBERYJNE
i SUKNA DOSTAWOWE.**

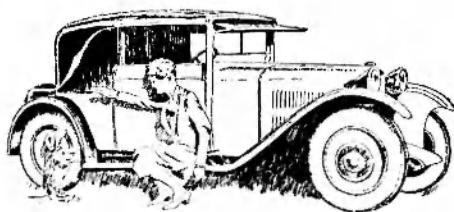
**Perfumerja i Skład artykułów
toaletowych**

Bogdan Bohosiewicz

Lwów, ulica Hetmańska 6

**poleca znakomitą Wodę Kolońską
czystą i kwiatową „Bogdan kę“**

**własnego wyrobu w jakości dorównującej wy-
robom zagranicznym.**



F I R M A

„ESHAPE“

SPÓŁKA Z OGR. POR.

LWÓW, Akademicka 15

Telefon Nr. 4-69.

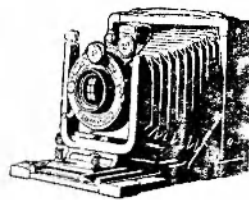
Zastępstwo samochodów „FORD“

Warsztaty reparacyjne samochodowe — Tel. 58-40

Wytwórnia karoseryj samochodow. — Tel. 58-41

JAN BUJAK

SPECJALNY MAGAZYN
APARATÓW
I PRZYBORÓW FOTOGRAFICZNYCH :



LWÓW, — ULICA KOPERNIKA Nr. 4.

TELEFON 18-34.

MAGAZYN MEBLI
STYLOWYCH

BRACIA SIWEK

LWÓW KOPERNIKA 3. — TELEFON 42-44

DRUKARNIA I LITOGRAFJA

PILLER NEUMANNA

LWÓW, ŁYCZAKOWSKA 3

Telefon 7-27

Konto P. K. O. Warszawa 144.822

*Wykonuje Akcje, czek, książeczki wkładowe, papiery wartościowe.
Etykiety i opakowania. Afisze i wywieszki reklamowe. Ilustracje.
Papiery firmowe i listowe. Bilety, zaproszenia. Cenniki, prospekty.
Dyplomy, karty honorowe. Świadectwa. Dzieła i książki. Wszelkie
druki przemysłowe i bankowe. Kalendarze i terminarze.*

DRUK wypukły, płaski i ofsetowy, jedno- i wielobarwny.

.....
Wystawiamy na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu 1929 roku.



„KLISZ”
ZAKŁADY
REPRODUKCYJNE
SCHŁOSERA
LWÓW
 UL. SYKSTUSKA 10.
 TEL. 48-46

WYKONUJE: KLISZE Drukarskie, Kreskowe, Siatkowe i Wielobarwne, Rysunki Reklamowe.

PRZEŹROČA DO KIN I REKLAM
i CELOW WYKŁADOWYCH.

**MIEJSKI WARSTAT
 NAPRAW WODOCIĄGÓW
 DOMOWYCH**

WE LWOWIE, CZARNIECKIEGO 3
TELEFON 1-76



**SAMOCHODY
 „STEYER”**

**WYŁĄCZNE PRZED-
 STAWICIELSTWO**

BIURO: LWÓW, AKADEMICKA 23. Tel. 55.

**CZĘŚCI ZAPASOWE I GALANTERJA
 SAMOCHODOWA W SKLEPIE, ULICA
 MIKOŁAJA 23.—TEL. 53-25.— WARSZTA-
 TY, GARAŻE I LAKIERNIA „DUCÓ” —
 UL. ŁYCZAKOWSKA 27. — TEL. 60-91.**

WŁADYSŁAW BUSZEK

**MAGAZYN JUBILERSKI
 LWÓW AKADEMICKA 6**

— TELEFON Nr. 18-48 —

**MINERALNĄ NATURALNĄ
 WODĘ STOŁOWĄ**

„DEWAJTIS”

**POLECANA PRZESZ LEKA-
 RZY WYŚYŁA ZARZĄD
 — — — DÓBR — — —**

„PACYKÓW”

**POCZTA STANISŁAWÓW
 LUB CENTRALA:**

LWÓW, PLAC MARJACKI 10

**MAGAZYN MODNYCH TOWARÓW BŁA-
 WATNYCH, JEDWABIU, PŁÓCIEN •
 I SUKNA MĘSKIEGO**

ALFONSA UWIERY

LWÓW, PLAC HALICKI 14

POLECA SIĘ

TOWAR TYLKO DOBOROWY

Ceny bardzo przystępne!

Olbrzymi wybór!